



QUINN WILDER



Dom marzeń

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- I nic mnie nie obchodzi, nawet jeśli zatrzymała cię sfera rozszalałych słoni przebiegających przez ulicę...

Janey, nie zauważona, wysiadła ze swego małego czerwonego volkswagena kabrioleta. Cicho zamknęła drzwi, zasłoniła swe zielonozłotawe oczy okularami przeciwsłonecznymi, na jasnobrązowe włosy nałożyła niebieską czapkę futbolową i skrzyżowała ręce na piersiach. Obeszła samochód, oparła się na przednim błotniku i obserwowała, czekając na zakończenie awantury.

- I myślisz, że nadal będę ci płacił siedemdziesiąt dolarów za godzinę obsługiwania tej betoniarki, a ty...

Tu język mówiącego stał się wulgarny, a na ustach Janey pojawił się niewielki uśmiezek. Trudno było spodziewać się nienaganych manier po kimś, komu nadano przydomek Blaze (ang. huragan - przyp. tłum.).

Był potężnym mężczyzną. Miał na sobie tylko wyblakłe opięte dżinsy, zsunięte nisko na biodra i podkreślające mocny zarys jego nóg i pośladków.

- To już trzeci raz, a zwykle nie pozwalam nawet na mniej...

I znów popłynął strumień wyzwisk. Mówiąc, gestykulował bez przerwy, napinając potężne mięśnie ramion.

Janey spostrzegła, że drugi z mężczyzn cofnął się pół kroku. Był drobniejszy i łatwo wzbudzał współczucie. Ale cofanie się przed mężczyzną takim jak Blaze Hamilton było błędem.

Był opalony i nawet w wątlym wrześnieym słońcu pot połyskiwał na jego klatce piersiowej, mocno wyrzeźbionej przez lata ciężkiej fizycznej pracy.

- Nie ma mowy! Cholera, gdybyś chociaż był punktualny...

Jego oczy, lazurowe jak letnie niebo, miały iskierki gniewu i wyglądało na to, że za chwilę rzuci młotkiem, który trzymał w pomarszczonej dłoni.

- Marnujesz mój czas. Jesteś zwolniony. - Wskazał kciukiem na drogę i już po chwili wrócił do swej pracy, odwracając się plecami do wyrzuconego pracownika.

Mężczyzna przeszedł koło niego z nisko pochyloną głową. Zerknął w jej stronę, a jego oczy pełne były nienawiści i upokorzeni.

Popatrzyła na Blaze'a Hamiltona, czując ogarniającą ją falę złości. Kolejne życie tak beztrąsko przez niego zniszczone.

Blaze oparł ręce na biodrach, a ona popatrzyła na linię jego pleców. Nieskazitelnie gładka skóra lśniła na wyjątkowo szerokich ramionach. Plecy zwężały się aż do miejsca, gdzie dżinsy opinały wąskie biodra.

Uważała, że okoliczności nie uzasadniały aż takiego gniewu, ale wiedziała też z kim ma do czynienia. Z szorstkim mężczyzną.

Ponadto, zwolnienie pracownika akurat w chwili, gdy przyszła, działało na jej korzyść. Starła się nie myśleć, czy ten zwolniony robotnik miał żonę i dzieci na utrzymaniu...

Hamilton podniósł dłoń z bioder i przesunął nią po gęstych włosach, rozjaśnionych przez słońce do tego stopnia, że miejscami były zupełnie białe. Przez jakieś trzydzieści sekund stał nieruchomo, obserwując budowę.

Władczy i niecierpliwy, pomyślała, niebezpieczna kombinacja. No cóż, to też już wiedziała.

Kiedy widziała go po raz ostatni, miała szesnaście lat. Minęło osiem kolejnych. Jego twarz była teraz bardziej zniszczona, ale poza tym nie zmienił się. Wydało jej się to niesprawiedliwe. Tamtej nocy zaczął się przecież zmieniać cały jej świat. Ziarno zniszczenia, które wówczas zasiał, dwa tygodnie temu zaowocowało.

Przygryzła wargę. Nie powinna teraz o tym myśleć. Nie może pozwolić sobie na słabość. Jeśli ma wymierzyć sprawiedliwość, musi być przynajmniej tak silna jak on. Przestraszyła się tej myśli.

Dostrzegła, że jego ramiona rozluźniają się, jakby to, co widział przed sobą, przyniosło mu ulgę. Dwaj inni mężczyźni pracowali. Jeden z nich był olbrzymi, niemal dwumetrowy, potężnej budowy i bujnie owłosiony. Drugi był nieco starszy, drobny i żyłasty, lecz silny. Jego twarz wyglądała na nieprzystępną i zimną.

Hardzi i nieprzejednani, wszyscy trzej. A jednak musiała przyznać, że i jej samej podobało się to, co ujrzała. Nie każdy by to zrozumiał. A już z pewnością nie Jonathan. Za kilka dni na miejscu tego świeżego wykopu stanie szkielet domu.

Blaze Hamilton był właścicielem firmy budującej domy mieszkalne. Niektórzy mówili, że jest w tej branży najlepszy, choć lojalność wobec ojca nakazywała jej uważać inaczej.

Najlepszy bowiem był jej ojciec. Dorastała na placach budowy, bawiąc się piaskiem pomiędzy powstającymi domami. Później, gdy była starsza, uczyła się, niemal w drodze osmozy, jak czytać plan, wytyczać dom, wylewać fundamenty, kłaść podłogi i wstawiać okna oraz wieńczyć dach.

Ojciec zawsze mówił o niej z dumą, że jest urodzonym budowniczym. Na rozkopanym placu budowy doznawała prawdziwego zadowolenia. Mimo potu zalewającego oczy i obolałych mięśni była szczęśliwa.

Starła się znaleźć jakieś bardziej kobiece zajęcie, które uczyniłoby ją równie szczęśliwą. Ukończyła seminarium nauczycielskie, ale nie lubiła tej pracy. Nie dzieci, ale uwięzienia w środku, podczas gdy na zewnątrz świeciło słońce lub szalał deszcz. Nie mogła znieść bezruchu panującego w klasie. Lubiała dnie pełne fizycznego wysiłku, większego niż ten, jaki towarzyszy zabawie: „Stary niedźwiedź mocno śpi”.

Następnie próbowała pracować w bibliotece, czego nienawidziła dokładnie z tych samych powodów, z jakich nienawidziła szkoły, a dodatkowo jeszcze z jednego powodu... ciszy. Lubiała hałas - uderzenia młotków, zgrzytanie pił i rozmowy mężczyzn.

Potem pracowała w biurze dentysty. Tej pracy nie cierpiała najbardziej ze wszystkich. Męczyła ją panująca tam cisza, bezruch, poczucie izolacji. Najgorsze było to, że miała do czynienia z komputerem, którego nienawidziła z głębi serca. Z drugiej zaś strony były i plusy - spotkała przecież Jonathana.

Na myśl o narzeczonym zmarszczyła brwi. Nie będzie zachwycony, że przychodzi tu codziennie.

Wzruszyła ramionami. Gdy dwa tygodnie temu podejmowała tę decyzję, nie miała wyboru. Była tu po to, by bronić honoru rodziny. Jeśli będzie mogła, położy kres karierze Blaze'a Hamiltona, tak jak on zniszczył karierę jej ojca.

Nie oczekiwała jednak tak silnego uczucia... jakby powrotu do domu. Tylko taka praca mogła dać jej szczęście, którego nigdy nie poczuje w biurze dentysty. Może, gdy już zakończy sprawę z Blaze'em Hamiltonem, wróci do budownictwa.

Jonathan dostałby zapewne zawału, ale czy nie na tym właśnie polega miłość? Na pragnieniu, by uczynić tę drugą osobę szczęśliwą?

Uważał, że żona-budowniczy nie jest odpowiednią partnerką dla dentysty.

Przekona się, że wszystko będzie dobrze. Będzie miał do czynienia z tą samą osobą, w której się zakochał. A ona będzie zadowolona, podążając śladami ojca, kontynuując rodzinną tradycję budowlaną, tak okrutnie i beztrosko przerwana przez Blaze'a Hamiltona.

Praca nad tym domem, usytuowanym wysoko ponad doliną Okanagan w British Columbia, nie może jednak przesłonić prawdziwego powodu, dla którego się tu znalazła. Musi obserwować Blaze'a. Musi odnotowywać wszystkie jego potknięcia, zapłacone przez niego łapówki oraz inne drobne niedopatrzienia.

Stojąc tak i wdychając znajomy zapach schnącego na słońcu betonu, raz jeszcze poczuła kuszące uczucie powrotu do domu. Było to dziwne zważywszy, że znajdowała się na budowie nadzorowanej przez mężczyznę, który zniszczył jej dom, rodzinę... i ojca.

Dostanie go, choćby miała to być ostatnia rzecz, jakiej dokona w życiu.

Była jednak zasadnicza przeszkoda do pokonania. Właśnie szedł w jej stronę, a dyskretny grymas jego ust i wąskie błękitne oczy zdradzały zniecierpliwienie.

- Ten dzieciak chce się chyba z tobą widzieć, Blaze.

- Czyżby? - Blaze odwrócił się i spojrzał na drogę. - Och, no tak!

Zwrócił się do biura zatrudnienia, by przysłali mu doświadczonego pomocnika ciesielskiego. Już od tygodnia wiedział, że Raoul będzie musiał odejść. Nie było sensu trzymać dłużej pijaka. Miał nadzieję, że biuro przyśle mu kogoś odpowiedniego, zanim ostatecznie rozmówi się z Raoulem.

A oni tymczasem przysłali mu jakiegoś dzieciaka w futbolowej czapeczce, prawdopodobnie prosto po szkole. W tych okularach słonecznych chłopiec wyglądał wyjątkowo młodo i wątro. Mięśnie jego ramion nie uniosłyby prawdopodobnie nawet pudełka z gwoździami.

Pomyślał, że ma dzisiaj zły dzień. Na szczęście już niedługo się skończy. Będzie mógł pójść do domu. Pomyślał o Melanie i westchnął. Ma pewnie bilety na jakiś koncert. I znów będzie wściekła, jeśli zaśnie lub okaże znudzenie.

Melanie była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział. Wysoka blondynka, tak samo jak on. Promienna i złota. Tyle że teraz już wiedział, iż jasne włosy to wynik farbowania, a opalenizna pochodzi z salonu piękności. Westchnął. Wciąż przyciągał ten sam typ. Zepsute, bezradne kobietki, których jedyną ambicją było zrobienie z niego kogoś, kim nie był.

Był budowniczym i cieślą. I nikim innym nie chciał być. Lubił brudzić ręce i patrzeć, jak z niczego powstają domy, jego domy. Nie pragnął być nikim wyrafinowanym ani potężnym. Nie interesował go zawód przedsiębiorcy ani inwestora.

Zniecierpliwiony, przeskoczył przez ogrodzenie budowy i wyszedł na drogę.

- Czym mogę służyć? - z rozmysłem nadał swemu głosowi zimne brzmienie.

Z bliska chłopiec wydawał się jeszcze bardziej delikatny i dziewczęcy. Jego ekipa miałyby z niego niezły ubaw.

Opuszczone okulary słoneczne odsłoniły przed zaskoczonym Blaze'em zielonozłote oczy o nieco speszonym wyrazie. Przynajmniej wiedział teraz, dlaczego ten chłopiec wyglądał jak dziewczyna. Bo był dziewczyną.

- W biurze zatrudnienia powiedziano mi, że jest tu praca.

Wytrąciło go to z równowagi.

- Jeśli twój chłopak stara się o posadę, powinien zgłosić się osobiście.

Na jej wyrazistych kościach policzkowych pojawiły się zabawne rumieńce. Nie była piękną kobietą, pomyślał, ale było w niej coś pociągającego. Jakaś głębia w tych błyszczących oczach.

Upomniał samego siebie, że ma już dość problemów z kobietami. Poza tym ta nie była w jego typie. Zbyt niska i drobna. Na pewno kobieca, ale zbudowana jak chłopiec, za którego ją przecież wziął.

- To ja się staram o tę pracę.

W tym zaskakująco zduszonym głosie pobrzmiwała jakaś zdecydowana nuta. A jednak nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Ty? Chyba żartujesz! - Znów się roześmiał. - Chyba niedokładnie zrozumiałaś, co oznacza pojęcie „budowniczy domów”.

Czapeczka futbolowa znalazła się nagle w zaciśniętej pięści. Jego wzrok spoczął na rozjaśnionych słońcem brązowych lokach. Była jak mała leśna nimfa, pomyślał z rozbawieniem. Bardzo rozdrażniona mała leśna nimfa.

- Mówię najzupełniej poważnie - powiedziała, starając się zapanować nad głosem mimo gniewu, który wypełniał jej oczy wściekłymi złocistymi ognikami.

Skrzyżował ramiona na swej odsłoniętej piersi i stał tak, patrząc na nią. Musiał kierować wzrok w dół. Gdyby się okazało, że mierzy 160 centymetrów wzrostu, zdziwiłby się.

- Nie przyjąłbym kobiety do tej pracy. Jest zbyt ciężka.

- Takie stwierdzenie może doprowadzić pana wprost przed oblicze Komisji. Praw Człowieka, panie Hamilton.

- Grozisz mi? - spytał z niedowierzaniem. Stłumił śmiech, choć cała ta sytuacja przypominała mu gonitwę myszy z lwem.

- Proszę tylko dać mi szansę. Co pan straci, dając mi szansę?

Szacunek kolegów po fachu, pomyślał z ironią. Kobieta w ekipie Blaze'a Hamiltona? Po jego trupie.

- Odpowiedź brzmi: nie.

- Nie znajdzie pan nikogo innego.

Wzruszył ramionami. Wiedział, że to może być prawda. To był dobry rok dla budownictwa. Wydawało się, że wszyscy mężczyźni zdolni do uniesienia młotka byli już gdzieś zatrudnieni. A jednak, zanim przyjmie do pracy kobietę, dobrze się jeszcze rozejrzy.

- Jeśli mnie nie zatrudnisz, złożę skargę do Komisji Praw Człowieka.

Powiedziała to cicho, nie zostawiając cienia wątpliwości, że tak właśnie zamierza uczynić.

- Nadal jeszcze mamy wolność, siostrzyczko. To moja firma i zatrudnię kogo będę chciał.

- Dyskryminacja jest sprzeczna z prawem - odparła z wściekłością.

- Nie dyskryminuję, korzystam tylko z prawa do wolnego wyboru. - Nie mógł zrozumieć, czemu obcowanie z tą małą złością poprawia mu humor. Zauważył, że pod niebieską dżinsową koszulą rysują się wyraźne, krągłe kształty. Przypatrzył się jej z uwagą. A niechby nawet miał uchodzić za męskiego szowinistę.

Na widok jej zaróżowionych z wściekłości policzków, uśmiechnął się.

- Chyba nie chcesz tak naprawdę pracować dla wielkiego okrutnego wilka, jakim jestem? - spytał obłęsnym, jadowitym głosem.

- Poradzę sobie jeszcze z dziesięcioma takimi - odparła bez zmrużenia oka.

Tym razem trafiła w jego czuły punkt. Zmierzył ją wzrokiem.

- Zuchwałe z ciebie maleństwo, nie uważasz?

- Mam trzech braci. Wyrosłam w takich miejscach jak to. W tym co robię jestem dobra. Niewiele rzeczy zaskakuje mnie i poradzę sobie ze wszystkim, co mi zlecisz.

- Jasne - odparł sucho.

Wyobraził sobie rozmowy telefoniczne, które będzie musiał przeprowadzić wieczorem ze znajomymi robotnikami.

Nic z tego.

Pracuję.

Jestem zajęty.

Może za kilka miesięcy.

Założyłem własną firmę budowlaną.

Przykro mi, Blaze.

Melanie będzie siedziała naprzeciwko niego, wydymając pełne, jaskrawo pomalowane usta w grymasie, który uważała chyba za seksowny.

Kobieta, która stała przed nim nie miała śladu makijażu. Była świeża i naturalna. Zastanowił się, czy w innych okolicznościach chciałby ją poznać. Chyba nie. Należała raczej do typu kobiet, które mijał obojętnie.

- Przykro mi. Nie podpiszemy umowy.

Przez chwilę na jej twarzy pojawił się dziwny wyraz. Nie złość i nie groźba. Była to jakaś rozpaczliwa rezygnacja, jak u małego dziecka, które zbiera się na odwagę, by o coś poprosić i otrzymuje odmowę.

Poczuł, że mięknie. Do licha, już samo to powinno stanowić ostrzeżenie, aby nie zatrudniać kobiety. Ten nagły przyływ sympatii został jednak brutalnie przerwany jej zdecydowanym głosem.

- Natychmiast idę złożyć skargę. Do zobaczenia w sądzie.

Czuł niepowstrzymaną pokusę, by wyładować na niej swą złość, tak jak uczynił to przed chwilą wobec Raoula. Ale zrobił błąd. Powinien był przynajmniej spróbować go zatrzymać, dopóki nie znajdzie kogoś innego.

Z trudem zapanował nad pragnieniem odesłania jej do wszystkich diabłów i pomyślał o wszelkich niewygodach związanych z włączeniem się po sądach. Czy mogliby go zmusić do zatrudnienia jej wbrew jego woli? Zdał sobie sprawę, że tak. Kwestia równouprawnienia nie schodziła z pierwszych stron gazet. Tego typu afery mogłyby zaszkodzić reputacji firmy.

Być może łatwiejsze - i o wiele śmieszniejsze - będzie sprawdzenie, jak długo wytrzyma jego niechęć. Mógłby się założyć, że w ciągu godziny sprowadzi ją na ziemię. Najwyżej pół dnia. Da jej nauczkę, czym się kończy grożenie Blaze'owi Hamiltonowi. Mała awanturka.

Wzruszył ramionami, unikając jej wzroku.

- W porządku. Wygrałaś. Do jutra.

Jej twarz rozjaśniła się, co nadało jej uroczy, łobuzerski wyraz.

Zrozumiał, że popełnił duży błąd. Należało raczej iść do sądu. Zresztą na pewno blefowała.

- Oczywiście, nie zagrzejesz u nas nawet dnia.

- A zwłaszcza jutra, kiedy będziemy wylewali formę pod fundamenty, dodał w myślach. To ciężka, wyczerpująca praca i nikt nie będzie miał czasu, żeby się nią zajmować.

Początkującym nigdy nie było w tej ekipie łatwo. Nawet mężczyznom. Taka już była tradycja. Dadzą jej popalić. I może dobrze jej to zrobi. Takie drobne kobietki o wyglądzie porcelanowych figurek nie powinny się brać za męskie zajęcia.

- Na początek chcę dwanaście dolarów za godzinę - powiedziała zdecydowanie.

Patrzył na nią zaskoczony. Akurat, pomyślał drwiąco.

- Dam ci dziesięć. Jeśli jesteś warta więcej, dostaniesz to. Zawsze płacę ludziom tyle, ile są warci.

- Zastanawiał się, na ile będzie opiewał jej czek po jutrzejszym dniu. Pewnie najwyżej na jakieś trzydzieści dolarów, pomyślał z satysfakcją.

- W takim razie w ciągu dwóch tygodni zostanę najlepiej opłacanym pracownikiem w twojej ekipie.

- No tak, jasne. Zaczynamy o siódmej. Później nie masz po co przychodzić.

- Nie spóźnię się.

Spojrzał na jej poważną twarz i westchnął. Cholera, pewnie naprawdę się nie spóźni.

Odwrócił się od niej gwałtownie. Właśnie stało się coś, czego nie chciał. A przecież jeśli z czegoś słyszał, to właśnie z tego, że zawsze całkowicie panował nad sytuacją.

- Hej, Jeleniu - wrzasnął. - Co ty do diabła robisz? Nie płacę ci za siedzenie i obgryzanie paznokci...

Zerknął przez ramię, by sprawdzić, czy zrobiło to na niej wrażenie. Jeśliby na nią tak krzyknął, pewnie by się zupełnie załamała. O rany. Nie był pewien, czy by to zniósł, choćby tylko przez trzy godziny.

Siedziała już za kierownicą swojego volkswagena. Wykonała zgrabny zakręt w kształcie litery U i swobodnie, bez śladu urazy, pomachała mu ręką.

- Co to za kociaczek, szefie?

Kociaczek. Uśmiechnął się ponuro do siebie. Nie była typem kobiety, którą zachwyciłoby miano kociaczka. Uśmiechnął się z myślą o jutrze. Godzina. Najwyżej dwie.

Obdarzył Jelenia nieoczekiwanym uśmiechem. Jeleń był filarem jego załogi, choć przyczyny tego stanu rzeczy nie były znane żadnemu z nich. Był potężny, ale leniwy i Blaze musiał nieustannie go popędzać. Poza tym - nawet jak na robotnika - był wyjątkowo bezczelny i pyskaty.

Na Jelenia mógł jutro liczyć. Będzie odpowiednio szorstki i wulgarny, by zniechęcić tę małą istotkę i odesłać ją z powrotem do jej bezpiecznego światka.

Uświadomił sobie, że nie zna nawet jej imienia. A przecież będzie mu to potrzebne do dokumentacji, przy jej rezygnacji.

Nawet gdyby to zaplanował, nie mogłoby być lepiej, pomyślał z satysfakcją, przechadzając się następnego ranka po budowie.

Padalo. Błota było więcej niż w niejednym chlewie. Jacyś ludzie z innej brygady niedbale porzucali drewniane formy, w których zastygał beton. Trzeba będzie podciągnąć je do góry ręcznie, przez około pięćdziesiąt metrów najwspanialszego błota. Było to błoto przypominające cement, oblepiające kalosze, które w okamgnieniu zaczynały ważyć kilka kilogramów.

Wiedział już, kto będzie podciągał formy. O ile w ogóle się pojawi. Pewnie przestraszy się deszczu.

Nie pozwoli, żeby zmokły jej włosy. Na pewno nie lubi brudu i błota. Takie są przecież kobiety.

Mały volkswagen wyłonił się właśnie zza zakrętu.

O, kurczę, mruknął do siebie. No cóż, ta dama będzie musiała przekonać się, że fizyczna harówka nie została stworzona dla sprytnych małych dziewczynek. Na jego mokrej twarzy pojawił się uśmiech.

Spojrzał na zegarek. Za pięć siódma. Oto początek rozgrywki. Zaczął cicho pogwizdywać.

Janey wysiadła z samochodu. Nie podobał jej się jego uśmiech. Stał z rękoma skrzyżowanymi na piersi i obserwował ją. Nie zwracał uwagi na deszcz, spływający po jego zielonym skórzanym płaszczu. Nie miał nawet kaptura i woda ściekała mu po włosach.

Miała na sobie niemal identyczny płaszcz. Obróciła się dokoła i rozejrzała po budowie. Panował tu straszny bałagan. Co do deszczu, zupełnie jej nie przeszkadzał. Zawsze wolała być w czasie deszczu na dworze, niż jak więzień tkwić w domu. Wiedziała też na czym polega praca przy fundamentach. Nawet bez przeszkód w postaci deszczu była to ciężka robota. Ubrała się odpowiednio. Jej dżinsy były tak stare, że niemal się rozlatywały. Jedna nogawka była przycięta, a z tyłu brakowało kieszeni.

Podeszła do niego, starając się - mimo przylepionego do kaloszy błota - kroczyć z godnością. Zauważyła, że jego oczy zwięzają się, zdradzając zaskoczenie. Nie oczekiwał nawet, że będzie wiedziała, jak się ubrać. Miała nadzieję, że w najbliższych dniach sprawi mu więcej niespodzianek.

- Dzień dobry - powiedziała radośnie.

- Niezbyt dobry - odparł. - Możesz zacząć układać te formy w wykopie.

Janey popatrzyła na niego z uwagą. Oboje wiedzieli, że to nie jest zajęcie dla niej. Nie miała przecież siły mężczyzny. Było wiele prac, które mogła wykonywać na równi z mężczyznami, ale to zadanie do nich nie należało.

Wzruszyła ramionami, wyjęła z kieszeni skórzane rękawiczki i włożyła je na ręce.

Parsknął lekceważąco.

Spojrzała na jego dłonie. Były potężne, umięśnione i pełne odcisków. No cóż, chociaż chciała równości, musiała przecież chronić ręce. Jonathan nie był zachwycony, gdy zeszłego wieczora opowiedziała mu o swej pracy. Mówiąc wprost, był otwarcie nieprzychylny. Nie było sensu tego podsycać, narażając go na widok jej poranionych rąk. Żałowała, że nie mogła mu wczoraj opowiedzieć całej historii, ale na to było jeszcze za wcześnie. Mógłby próbować ją powstrzymać.

- Myślę, że to twoja reakcja na pobyt ojca w szpitalu - powiedział Jonathan.

Był bliższy prawdy, niż przypuszczał.

Podeszła do rozrzuconych form i przyjrzała się im. Żyłasty mężczyzna, którego zauważyła poprzedniego dnia, zszedł z góry i położył sobie dwie z nich na ramionach.

- Cześć - powiedziała - jestem Janey.

Spojrzały na nią zimne niebieskie oczy.

Nie skinął ani nie podał swego imienia. Nie wyglądał nawet na zdziwionego. Był całkiem obojętny. Nie przerwał pracy.

No cóż, nie spodziewała się powitalnej orkiestry, bo przecież nie przyszła tu w celach towarzyskich. W gruncie rzeczy skomplikowałoby to tylko sytuację i prawdziwy cel jej pobytu.

Miała w sobie tyle energii, że mogłaby teraz przenosić góry. Uniosła jedną z form i przerzuciła sobie przez ramię. Była niesamowicie ciężka ale, zaciskając zęby, zaczęła posuwać się ku górze.

Zapowiadało się na długi i żmudny poranek.

- Jeleń, jest pięć po siódmej. Kim ty jesteś? Bankierem?

Nie zatrzymała się, lecz kątem oka dostrzegła nadejście współpracownika. To był ten potężny. Miał potargane włosy w kolorze błota i także same oczy. Z bardzo płaskimi ramionami, wyglądał trochę jak goryl. Przyszło jej do głowy, że w młodości miał pewnie kompleksy na tle swej ogromnej postury i dlatego kulił się w ramionach. Uśmiechnęła się do niego.

Rozdziawił usta.

- Szefie, to jest dama.

- Aha. Zgadza się.

- O rany, jak to się stało?

- Po prostu nikt jej nie wytłumaczył, że miejsce kobiety jest w kuchni.

Sama się o tym przekona.

Stara się mnie rozdrażnić, pomyślała Janey. Robi wszystko, żebym to upuściła, a wtedy mnie zwolni. To będzie zdecydowanie długi poranek. Czują

na sobie wyczekujący wzrok tych niebieskich oczu. Starła się, by jej twarz była pozbawiona wyrazu.

- Weźmy te formy do góry - zarządził.

Janey mogła unieść tylko jedną. Jeleń chwycił cztery, przerzucił je przez ramię i zaczął iść w górę. Przeklęła cicho, po czym, słysząc tuż nad uchem parsknięcie, odwróciła się.

- Będiesz robiła dwa razy mniej i dwa razy wolniej. To nie jest praca dla ciebie.

Jej oczy zmierzyły się z wyzywającym błękitem jego wzroku. Poczowała, jak czerwienieją jej policzki.

- Chcę równych szans, by pokazać, co potrafię.

- Dostaniesz je - wycedził - ale jeśli ci się nie spodoba, nie miej do mnie pretensji.

- Mnie się podoba - powiedziała stanowczo. - Jak dotąd, to tylko ty się skarżyłeś.

- No cóż, miałem na co. Mój Boże, z tymi mięśniami trudno ci chyba unieść nawet filiżankę.

- Tak się składa, że jak na kobietę jestem bardzo silna. Oczywiście nie opieram mojego poczucia wartości na wynikach w podnoszeniu ciężarów. Ale mogę to robić i nie będę się uskarżać.

Przeklął pod nosem.

- Od dziesięciu minut jest na budowie kobieta i już marnujemy czas na gadaniu.

- Ty zacząłeś - odparła bez wahania, chwytając formę i kładąc ją na ramieniu. - A teraz zejdz mi z drogi.

Z satysfakcją zauważyła, jak stoi z otwartymi ustami, po czym, nie mając nic do powiedzenia, zamyka je. Nie był przyzwyczajony, by inni kazali mu schodzić z drogi. Ale takiemu mężczyźnie należało od razu pokazać, że nie jest się przez niego upokorzonym. Nawet jeśli się było! Rzucenie go na kolana

byłoby prawdopodobnie najbardziej satysfakcjonującym doświadczeniem w jej życiu!

Minęła go, a następnie Jelenia, który spojrzał na nią spode łba wzrokiem wyrażającym coś pomiędzy szacunkiem a zdumieniem.

Blaze popatrzył na Jelenia. To przecież on miał dać jej wycisk. A tymczasem wyglądał trochę jak przestraszony uczeń, który nie wie, jak się zachować na przyjęciu u dyrektorki szkoły.

- Chryste, szefie, to taki drobiazg. Nie powinno się jej pozwolić dźwigać tego.

Obaj popatrzyli w jej stronę. Była już cała pogrążona w błocie. Widok mokrych dżinsów oblepiających jej ciało rozpraszał, nie pozostawiając cienia wątpliwości, że jest kobietą. Spojrzenie, jakim Blaze obdarzył Jelenia, było o wiele bardziej ponure niż pogoda. Wbiegł na górę i minął się z nią, gdy schodziła.

- Te największe zostaw Jeleniowi - powiedział, czując, jak bardzo jej ustępuje. - Tam są o połowę mniejsze.

- Zajmę się większymi - odparła z uporem.

Nie potrzebowała łaski ze strony Blaze'a Hamiltona!

- Zrobisz to, co powiedziałem, albo wylecisz z pracy. - Co ja wygaduję? - spytał sam siebie ze zdumieniem. Przecież o to chodziło, żeby wyleciała.

Dźwigając większe formy, odpadnie prędzej, niż dźwigając lżejsze.

Przez kilka sekund stali tak. wpatrując się w siebie nawzajem. Wyglądała jak podtopiony szczur. Z dumą potrząsnęła głową, zrzucając krople deszczu i odsunęła się od niego.

Patrzył za nią ze złością. Na miłość boską, właśnie ułatwił jej sytuację. Coś mu mówiło, że ta kobieta na budowie okaże się najgorszym doświadczeniem w całym jego życiu.

Spojrzał na zegarek. Minęło już dwadzieścia minut, a wcale nie zanosilo się na jej odejście. Zacięty wyraz jej twarzy zdawał się wskazywać, że to raczej on pierwszy zrezygnuje.

Chyba trzeba było spróbować swych sił w sądzie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Janey była cała pokryta błotem. Bolał ją dosłownie każdy mięsień. Włosy oblepiały twarz. Usiadła na stercie form, ugryzła kawałek kanapki i zamknęła oczy. Wystawiła twarz w kierunku słońca, które właśnie wyjrzało.

Czuła się dobrze, wykonując tę pracę. Parę razy tego ranka myślała, że już nie da rady. Kiedy jednak przywoływała w pamięci obraz ojca, siedzącego na wózku inwalidzkim z wyrazem całkowitej rezygnacji na twarzy, powracała cała energia.

Osiem lat temu był żywotnym, niewiarygodnie silnym mężczyzną. Lekarze twierdzili, że jego obecny stan spowodowany jest nadużywaniem przez długie lata tytoniu, który nadwerężył jego serce. Ale ona wiedziała, że to nieprawda. Do czasu tamtej pamiętnej nocy jego serce pracowało bez zarzutu. Pierwszy zawał miał w parę dni po wizycie Blaze'a.

Jeleń i Tuffy, pozostali pracownicy Blaze'a, siedzieli na innej stercie. Żaden nie zadał sobie trudu, żeby z nią porozmawiać, ale zauważyła, że nie rozmawiają także między sobą. Jeleń wydawał się zaciekawiony jej osobą, ale drugi z mężczyzn pozostawał całkowicie obojętny.

Położyła się na drewnianym balu i zamknęła oczy, łudząc się nadzieją, że przerwa na lunch nigdy się nie skończy.

Myślał, że będzie już miała dosyć. Myślał, że się załamie. Ze wskoczy pod prysznic i uda się do domu.

Tymczasem pracowała bez przerwy cały ranek.

Oczywiście nie zrobiła tyle, ile zrobiłby każdy szanujący się mężczyzna. Ale nie była to do końca prawda. Wykonała więcej pracy niż Raoul przez dwa tygodnie swego pobytu w ekipie. Doprowadził on do perfekcji udawanie człowieka pracującego, podczas gdy w rzeczywistości nie robił nic.

No dobrze, więc był to lepszy nabytek niż Raoul. Był to świetny nabytek. No dobrze, był zaskoczony, że zrobiła tak wiele, pracując cały czas z tym zaciętym wyrazem na twarzy. Nadal jednak nie oznaczało to, że powinna tu zostać. Trzeba było pozwolić jej dźwigać cięższe formy. Wtedy z pewnością nie leżałaby na słońcu z takim zadowoleniem. Trzeba przyznać, że było to zaskakujące. Starał się nie dać jej ani chwili wytchnienia, a tymczasem ona sobie leży i wygrzewa się na słońcu jak kot, gotowa na podjęcie kolejnych zadań. Teraz dopiero zobaczy!

Dostrzegłszy wyraz twarzy Jelenia, zaklął pod nosem. To spojrzenie było najbardziej wymownym dowodem na poparcie tezy, że kobiety nie powinny wykonywać męskiej pracy. Jeleń nie pracował dziś najlepiej i zdawał się być kompletnie wytrącony z równowagi obecnością młodej kobiety na tym świętym męskim terytorium.

Wewnętrzny głos podpowiedział mu, że to zbyt słaba podstawa do zwolnienia. Czy nie będzie umiał wymyślić nic innego?

- O, do diabła, zamknij się - powiedział głośno. Głowy podwładnych pochyliły się w jego stronę.

- Do roboty - rozkazał. - Co wy sobie wyobrażacie? Że jesteście na garden party w Pałacu Buckingham?

Rzucił okiem na zegarek. Skracał przerwę o dziesięć minut. Miał nadzieję, że ktoś z nich odważy się zwrócić mu uwagę. I miał nadzieję, że to będzie ona!

Patrzył, jak pakuje swój lunch, wstaje i rozprostowuje się. Jej kształty, przyobleczone w męskie ubranie, wydawały się bardziej kobiece niż kiedykolwiek przedtem.

Musi się jej pozbyć. Nie ma co do tego wątpliwości.

- Och... - Z westchnieniem niewymuszonej ulgi Janey weszła do wanny wypełnionej gorącą wodą.

Kiedy zanurzyła w niej poranione ręce, omal nie krzyknęła. Prawie godzinę później dzwonek telefonu uratował ją przed utonięciem.

Wyskoczyła z wanny i podniosła słuchawkę.

- Kochanie, tu Jonathan. Będę koło ósmej, żeby zabrać cię do kina, dobrze?

Chciała powiedzieć tak. Powinna powiedzieć tak. Ale nie mogła. Była wyczerpana, nie chciała myśleć o nałożeniu ubrania. Jedyne, co potrafiła teraz uczynić, to pokonać krótki dystans dzielący ją od sypialni i rzucić się na łóżko.

- Nie mogę, Jonathanie, nie dzisiaj. Zapadło pełne wyrzutu milczenie.

- Czemu nie?

Przez jej głowę przelatywały pomysły na dogodne wymówki. Dawno zagubiona siostra odnaleziona cudownie w Bella Bella? Nie, Jonathan wie, że nie miała siostry. Śmierć babci? Nie, to już takie zużyte. Poza tym kochała babcię. Może więc własna dziwna choroba. Purpurowe plamy w kształcie truskawek, pokrywające całe jej ciało i sprawiające wrażenie bardzo zakaźnych.

Dlaczego chcę okłamać mężczyznę, którego zamierzam poślubić? - spytała samą siebie, zdumiona odkryciem tej nowej cechy swego charakteru.

- Jestem zmęczona, Jonathanie. - Postanowiła trzymać się prawdy.

Znów nastąpiła dłuższa przerwa wypełniona, jak jej się zdawało, pełnym niezadowolenia milczeniem.

- No cóż, praca sekretarki miała jednak swoje plusy. Przynajmniej nie byłaś aż tak zmęczona, by nie móc wybrać się do kina.

- Po prostu nie jestem w formie. Daj mi jakiś tydzień.

- Mam nadzieję że nie wytrwasz tam przez cały tydzień.

- Nie jesteś w tym odosobniony - mruknęła.

- Dali ci wycisk?

- Nie większy, niż oczekiwałam.

- No więc, co robiłaś przez cały dzień?

Wolałaby po prostu jęknąć z wyczerpania, ale spróbowała mu odpowiedzieć.

- Brzmi cudownie - skomentował z ironią. Przez chwilę przywoływała w pamięci jego obraz.

Jonathan był od niej wyższy i bardzo szczupły. Miał niebywale przystojną twarz, starannie obcięte brązowe włosy o identycznym odcieniu co piękne, otoczone rzęsami, oczy. Wiedziała jednak, że w tej chwili ta urocza twarz wyraża potępienie i bardzo przez to traci.

- Posłuchaj, Jonathanie - zaczęła cicho. - Dla mnie oglądanie przez cały dzień cudzych zębów też nie kojarzy się z rozrywką, ale czy kiedykolwiek potępiałam twój wybór?

- To nie to samo.

Nie, pomyślała, praca w deszczu i błocie na pewno nie jest tym samym co praca dentysty albo praca w biurze dentysty. Kto zrozumie, że wolała ten deszcz? Że wydawał się jej bardziej realny, bardziej żywy.

- Jonathanie, jestem zmęczona i poirytowana. Skończmy tę rozmowę, zanim zaczniemy się nienawidzić.

Delikatnie odłożyła słuchawkę i ruszyła w stronę łóżka.

Czyżbyśmy zaczęli się nienawidzić? - zastanawiał się Blaze, patrząc przez ramię na Melanie. Leżał na sofie, trzymając w jednej ręce zimną puszkę coca-coli, w drugiej zaś pilota telewizyjnego.

- Blaze, obiecałeś.

- Nie obiecałem. Posłuchaj, miałem ciężki dzień. Mamy nowego głuptasa i musiałem robić dwa razy więcej niż zwykle. Dlatego nie idę do kina. - No to teraz się zacznie, pomyślał.

Zerknął na nią. Opadła na fotel i westchnęła. Jej usta zaczęły drżeć. Udawał, że ogląda telewizję.

- Naprawdę chciałam zobaczyć ten film. Był nominowany do nagrody krytyków.

- Więc idź - wybuchnął.

Na miłość boską, cały dzień obserwował to maleństwo, pokonujące wzgórze w obie strony, noszące ciężkie ładunki i nie usłyszał ani jednej skargi, choć miała przecież do niej prawo. Mógłby się założyć, że gdyby ta mała chciała iść do kina, nie musiałaby w tym celu wieszać się na męskim ramieniu.

Melanie wstała, z oburzeniem potrząsnęła swą złotą czupryną i przemaszerowała koło niego. W chwilę później usłyszał trzaśnięcie drzwi.

No i dobrze, pomyślał. Ale nie czuł się dobrze. Temu też była winna ta mała. Jeśli myślała, że się dziś napracowała, to jutro pozna prawdziwe znaczenie słowa praca.

Będą wylewali beton. Oczywiście mógłby wynająć wibrator do betonu, stanowiący nowoczesną metodę usuwania powietrza z betonowej masy, ale od czego miał swego Kopciuszka, którego pragnął się pozbyć?

Da jej młotek i każe uderzać w formy, by usunąć powietrze. Po jakiejś godzinie powinna poczuć odpadającą rękę. Po dwóch powiedzą sobie do widzenia. Pewnie nie będzie nawet miała siły pomachać mu na pożegnanie!

Pociągnął ostatni łyk coli i zgniótł puszkę w dłoni. Melanie nienawidziła, gdy tak robił. Nazywała to dziecinnym pokazem siły.

No cóż, mężczyźni są od tego, by byli silni. Ale kobiety nie.

Ta mała nimfa będzie musiała zrozumieć, że są rzeczy dla kobiet i dla mężczyzn. To mężczyźni tak naprawdę budują domy, kobiety jedynie dekorują ich wnętrza. Każdy musi znać swoje miejsce i ta drobina też to zrozumie.

Westchnął. Tego przecież potrzebuje świat. Kolejnej Melanie.

Ona wiedziała, gdzie jest miejsce kobiety. Święcie wierzyła, że wystarczy być piękną, wiedzieć jaki widelec do czego służy oraz bez rozsądku i umiaru wydawać pieniądze. Najchętniej jego pieniądze.

Poczuł się winny, oceniając Melanie tak nieprzychylnie. Byli razem od ośmiu miesięcy. Lubił ją przecież. Był po prostu zmęczony. Wyśle jej jutro kwiaty i wszystko zostanie mu przebaczone.

Nie wiedzieć czemu zaczął się zastanawiać, czy ktoś kiedykolwiek wysłał kwiaty tej małej. Wątpił. Jaki mężczyzna poświęciłby jej chwilę głębszego namysłu?

Ano taki, który leży na sofie ze zgniecioną puszką coca-coli w rękę, pomyślał z odrazą. Nie mógł zapanować nad obrazem, który stanął mu przed oczami. Ujrzał jej drobną, oblepioną błotem figurę i roześmianą twarz. Roześmianą! Zastanawiał się, jaką pracę wynajdzie jej jutro, gdyby okazało się, że radzi sobie z odpowietrzaniem form.

Trudno było wyobrazić sobie gorszy pomysł ze strony Jonathana, myślała oburzona Janey. Kwiaty! Na miłość boską, nie dość, że walczy tu na śmierć i życie, on przysyła jej do pracy kwiaty. I to w czasie wylewania betonu. Szybko przeczytała liścik.

„Przepraszam, że nie byłem wczoraj wystarczająco wyrozumiały”.

Zauważyła, że doręczyciel uśmiecha się, widząc absurdalność całej tej sytuacji. Zerknęła przez ramię, by ujrzeć wściekły wzrok Blaze'a i zasychający beton.

Wrzuciła kwiaty na podłogę samochodu, żeby nie oglądać ich przez cały dzień, po czym popędziła do pracy.

- Ładne kwiaty - powiedział Jeleń.

Popatrzyła na niego, czekając na atak. W jego szerokiej, przychylniej twarzy nie było jednak śladu drwiny. A więc nie zamierzał dodawać nic więcej.

- Dziękuję, Jeleniu - odparła z wdzięcznością.

Podniosła młotek i starała się zapomnieć o tych głupich kwiatkach. Z żalem pomyślała o czekającej ją pracy i zaciskając zęby, zaczęła uderzać w formę. Siła uderzeń zdawała się wracać z powrotem do jej ramienia, sprawiając ogromny ból.

- Tak naprawdę nie nazywam się Jeleń - powiedział cicho.

Jeśli nawet nie mógł zrozumieć, dlaczego ręcznie odpowietrzają formy, mimo iż istnieją do tego specjalne urządzenia, nie zdradził tego ani jednym słowem bądź gestem.

- A jak masz na imię? - spytała ostrożnie.

Zdawało się jej, że był to może nieśmiały wstęp do przyjaźni. Nie chciała go spłoszyć nadmiernym entuzjazmem.

- Clarence.

Nie przestawał uderzać młotkiem, odwrócony do niej plecami. Poczowała przypływ sympatii. Podejrzewała, że jego imię stało się przedmiotem drwin.

- Chciałbyś, żebym cię tak nazywała? - spytała cicho.

Wzruszył obojętnie ramionami, ale Janey wyczuła, że właśnie po to poruszył ten temat.

Pracowali w milczeniu, Clarence bez wysiłku, zaś Janey z przerwami, w czasie których ocierała pot i starała się wyrównać oddech.

- Masz chłopaka? - spytał nagle Clarence. - To on przysłał te śliczne kwiaty?

- No właśnie, masz chłopaka? - odezwał się inny, pełen drwiny głos.

Blaze pracował przed nimi. Zdawał się być całkowicie pochłonięty pracą, więc to jego nagłe zainteresowanie zaskoczyło ją.

Ręce mu nabrzmiały od wysiłku. Nie miał na sobie koszuli, co chyba weszło mu już w nawyk, a jego włosy błyszczały w słońcu.

- Czy nikt nie ostrzegł cię przed rakiem skóry? - mruknęła, odwracając od niego wzrok.

Twarde, umięśnione zarysy jego ciała zdawały się dziwnie przyciągać jej uwagę. W niebieskich oczach szefa pojawił się błysk i Janey pomyślała, że okazanie wrażenia, jakie zrobiła na niej jego odsłonięta pierś, było błędem. Jeśli zorientuje się, że to mogłoby ją odstraszyć, to następnym razem pewnie zdejmie spodnie!

Wróciła do pracy, uderzając z zapalem, świadoma spoczywającego na niej, rozbawionego wzroku Blaze'a.

- Nie odpowiedziałś nam, czy masz chłopaka - przypomniał.

Miała ochotę powiedzieć, że to nie jego sprawa, ale jednocześnie zdawała sobie sprawę, że na Blazie nie zrobiłoby to najmniejszego wrażenia, a mogłoby zniszczyć nić porozumienia nawiązaną z Clarence'em. Ponadto, przyznanie się do posiadania narzeczonego uświadomiłoby mu, iż ma jeszcze inne męskie ramiona do podziwiania.

Nie znaczyło to bynajmniej, że Jonathan miał szeroką klatkę piersiową, jak również, że kiedykolwiek przedtem miało to dla niej znaczenie...

- Tak, mam.

- Och! - Głos Clarence'a zabrzmiał niemal patetycznie.

- Jest dentystą. W zimie zamierzamy się pobrać. Prawdopodobnie w grudniu.

- Miły facet - mruknął Blaze.

- Słucham? - krzyknęła w jego stronę, nie wypadając z rytmu.

Nie zamierzała pozwolić, by tego rodzaju komentarze przeszły gładko, ale nie chciała też narażać się na krytykę.

- Jest tylko jedna przyczyna, dla której ktoś mógłby chcieć zenić się w grudniu.

- A mianowicie? - syknęła.

- Wakacje podatkowe.

Insynuacja, że mężczyzna byłby w stanie poślubić ją jedynie w okresie wakacji podatkowych, doprowadziła ją do szału, ale błędem byłoby okazanie wzburzenia. Uznałby to zapewne za wielkie zwycięstwo.

- W takim razie - powiedziała słodko - mam nadzieję, że koszt tych kwiatów też można odpisać od podatku.

- No, tak. Jest tylko jeden powód, dla którego mężczyzna posyła kobiecie kwiaty - powiedział ponuro Blaze.

- O! A jakież to?

- Klótnia, oczywiście. Panu doktorowi nie podoba się twoja nowa praca, tak?

Zaskoczyło ją, ile dodatkowej energii do uderzania młotkiem dostarcza jej złość. Zaskoczyło ją również jak bardzo domyślny może się okazać pozornie niewrażliwy mężczyzna.

- To, co mój narzeczony sądzi o mojej pracy to nie twoja sprawa!

Wzruszył ramionami.

- Właściwie masz rację. Czy mogłabyś nieco przyspieszyć? Cement zaczyna się wiązać.

Cement nie wiązał się jeszcze. Z rozmysłem odwróciła się do niego plecami.

- Wiesz, Clarence...

- Clarence? - zagrmiał Blaze, który widocznie opuścił tę część ich rozmowy.

Tym razem Clarence wyprostował się i posłał Blaze'owi wymowne spojrzenie.

- Poprosiłem ją, by mnie tak nazywała.

- A po cóż to? - spytał z niedowierzaniem szef.

- Ponieważ to jest moje imię - cicho lecz stanowczo odparł Clarence.

- To miejsce schodzi na psy szybciej, niż się tego spodziewałem - mruknął Blaze, mierząc ją wściekłym wzrokiem.

- Tak czy inaczej. Clarence - kontynuowała Janey, udając przed samą sobą, że spojrzenie Blaze'a, którego oczy pod wpływem złości przybrały niesamowity niebieski odcień, nie robi na niej najmniejszego wrażenia. - Miałam właśnie powiedzieć, że chciałabym cię z kimś poznać.

- Z dziewczyną? - spytali jednocześnie zaskoczeni Blaze i Clarence.

- Z kobietą - sprostowała.

Miała na myśli Mabel, przyjaciółkę z czasów szkolnych. Była to cudowna kobieta - mądra, promienna i opiekuńcza. Jak na kobietę, była jednak wyjątkowo wysoka i zdecydowanie nieładna. Janey przypuszczała, że Mabel nigdy nie była na randce.

Jej przyjaciółka kochała dzieci i odnosiła sukcesy tam, gdzie Janey ich nie miała - jako nauczycielka. A jednak samotność była głównym problemem jej życia i Mabel rozpaczała, że nie ma własnych dzieci ani mężczyzny, który by ją pokochał. Nie zaszkodzi poznać ją z Clarence'em. Janey podejrzewała, że oboje byli bardzo samotni.

- Moja przyjaciółka jest nauczycielką - wyjaśniła, uderzając młotkiem i marząc o tym, by Blaze pracował nieco dalej i żeby nie musiała już znosić jego wściekłych spojrzeń.

- Nauczycielką? - spytał rozczerwony Clarence. - O, nie, żadna nauczycielka nie będzie chciała mieć ze mną do czynienia. Jestem niewykształcony.

- Są rzeczy ważniejsze od wykształcenia, Clarence. Charakter, prawość, uczciwość.

Z ulgą dostrzegła, że Blaze posunął się do przodu, a więc wylewanie skończone. Radość nie trwała długo.

- Chodź no tutaj, mała.

Janey spojrzała na Blaze'a z wyrzutem, ale posłusznie schowała młotek do kieszeni. Pewnym ruchem złapał ją za ramię i wyciągnął z wykopu, a potem postawił na ziemi i zaczął iść do przodu. Podążyła za nim.

- Co ty, do cholery, wyrabiasz?

- Słucham?

- Zostaw Jelenia w spokoju.

- Co masz na myśli mówiąc, żebym zostawiła go w spokoju. Ten człowiek jest samotny.

- Jest szczęśliwy. Nic o nim nie wiesz. Pije piwo i opowiada sprośne kawały. Nie ma ogłady. Zamierzasz przedstawić go swojej przyjaciółce? Na miłość boską, przychodź po prostu do pracy i przestań wtrącać się do cudzego życia. Mężczyźni tak nie robią.

- Nie jestem mężczyzną.

- No cóż, jeśli chcesz wykonywać męską pracę, powinnaś nauczyć się zachowywać jak mężczyzna.

- Po prostu chcę pracować. Nie interesuje mnie udawanie mężczyzny. Większość z was to banda gruboskórnych głupców, a ty, Blazie Hamiltonie, wiesz wśród nich prym!

- Ja? - wrzasnął.

- Tak, ty! To nie ja nic nie wiem o Clarensie, tylko ty; A tak przy okazji, jak długo u ciebie pracuje?

- Długo.

- Wiedziałaś, że przezwisko Jeleń rani jego uczucia?

- Powiedział tak?

- No cóż, nie był zbyt wylewny, ale czy spytałaś go kiedykolwiek o prawdziwe imię? Albo jak chciałby być nazywany?

- Dlaczego miałbym go pytać? Znam go. Posłuchaj, mężczyzn nie tak łatwo zranić. Chcesz mi chyba po prostu powiedzieć, że to ty nie lubisz być nazywana małą albo zieloną, albo...

- Nieprawda. Nie obchodzi mnie to, co myśli sobie o mnie taki gbur jak ty.

- Gbur? - wymamrotał.

- Ach, więc uważasz, że tylko ty możesz przezywać innych, tak?

- Posłuchaj, ja tu rządę i...

- Po prostu spróbuj.

- Co mam spróbować?

- Nazywać go Clarence'em.

- Po co?

- Dlatego, że to jest jego imię.

- Wiedziałem, że tak będzie.

- Co?

- Że zaczniesz wprowadzać tu tę babską atmosferę. Niedługo za każde przeklnięcie będziemy wrzucać drobne do skarbonki i zaczniemy jeść lunch na serwetkach.

- Czy cywilizowane zachowanie zagraża pańskiej męskości, panie Hamilton?

- Droga damo - powiedział łagodnie - nie próbuj wyśmiewać się z mojej męskości. To zbyt wielkie wyzwanie dla takiej sierotki jak ty.

- Nie ma w tobie nic, z czym nie umiałabym sobie poradzić - powiedziała z przekonaniem, mimo iż miała świadomość wkroczenia na bardzo niebezpieczne terytorium.

W ułamku sekundy pokonał dzielącą ich odległość. Nawet gdyby chciała się cofnąć, nie zdążyłaby. Kiedy przeszywał ją wzrokiem, stała jak wryta.

Mężczyzna, którego miała przed sobą, wydał się nagle ogromny. Jego oczy miały błyskawice, a kiedy próbowała odwrócić się od niego, poczuła jak jego dłoń chwyta ją za podbródek.

Silne zmysłowe usta spoczęły na jej wargach. Postanowiła sięgnąć do fartucha, wyciągnąć młotek i uderzyć go w głowę. Nakazywała sobie to uczynić, ruszyła nawet ramionami... ale nie w kierunku młotka. Jej ręce bezwstydnie oplotły jego szyję i odkryła, że jej usta są równie żarliwe jak jego.

Poczuła się jak na karuzeli pełnej wrażeń. Gdy wargi podjęły wyzwanie, całe jej ciało zdawało się budzić do życia, tętnić jakimiś nieznanymi, niepowtarzalnymi i pociągająco niebezpiecznymi uczuciami.

Usłyszała odgłos młotka spadającego na ziemię. Wraz z tym powróciła przytomność umysłu. Oderwała się od niego i gwałtownie odepchnęła, a on

rozluźnił uścisk i pozwolił jej odsunąć się. Energicznym ruchem przetarła usta i spojrzała rozwścieczona.

- Powiadasz, że radzisz sobie z moją męskością, tak? - Głos miał przepełniony sarkazmem, a oczy przybrały zimny wyraz.

Widocznie jego serce nie zamieniło się w szalejącą burzę, tak jak jej własne, a przez ciało nie przebiegały pulsujące dreszcze, które tak bardzo ją teraz męczyły.

- Jak śmiałaś! - zaatakowała.

- Mówiłaś, że sobie z tym poradzisz - powiedział spokojnie.

- Nie to miałam na myśli!

- A co miałaś na myśli?

- Że zniosę twoje przeklinanie, rządzenie i pokrzykiwanie...

- Nie tylko na tym polega moja męskość - odparł łagodnie.

- Teraz już wiem, ty... nieokrzesany jaskiniowcu! Mogłabym kazać cię aresztować, zdajesz sobie z tego sprawę?

- Oczywiście. Gdyby nie sprawiło ci to takiej przyjemności.

- Nie sprawiło!

- Droga damo, twoje oczy błyszczą teraz jak diamenty.

Poczuła nieodpartą pokusę, by ukryć swe oczy.

- Nie waż się zrobić tego nigdy więcej - ostrzegła go.

- Nie zrobię - odparł spokojnie. - To był tylko argument w dyskusji.

O, dziękuję bardzo, pomyślała i po chwili spytała:

- A jaka była teza?

- Kobiety nie pasują do takiej pracy. Powodują zamieszanie. Zaczyna działać przyciąganie. Biedny Jeleń już się prawie w tobie zakochał, a przecież jesteś tu dopiero od dwóch dni.

- Nie zakochał się. Być może zaczyna mnie lubić. Traktuję go z szacunkiem i współczuciem, na jakie zasługuje.

- Lubi cię, ponieważ jesteś kobietą. Podobasz mu się w tych swoich niebieskich dżinsach. Jeśli zaś chodzi o współczucie, to wątpię, by odróżniał świętego od wielokrotnego zabójcy.

- Owszem, odróżnia. Ale ty, panie Hamilton, pewnie nie.

- Gdybym spotkał świętą, z pewnością bym się o tym przekonał. - Drwiący uśmieszek pojawił się w kąciaku jego prowokujących ust. - Święte prawdopodobnie nie odwzajemniają pocałunków.

- Nawet gdybyś spotkał świętą, przy tobie z pewnością zamieniłaby się w wielokrotną morderczynię!

- Właśnie to usiłuję ci powiedzieć - odrzekł z nutą triumfu w głosie. - Kobiety i mężczyźni wyzwalają w sobie nawzajem najgorsze instynkty, gdy pracują razem.

- Jak możesz tak mówić? Wiele kobiet i mężczyzn pracuje wspólnie bez schodzenia na taki... zwierzęcy poziom.

- No cóż, dentyści i przedstawiciele tego typu zawodów to nie jest dokładnie to samo co my tutaj.

- Och, wiem.

- Na przykład, kiedy ja patrzę na twoje usta, to ostatnią rzeczą, jaka przychodzi mi do głowy, jest czyszczenie twoich zębów.

- Więc nie patrz na nie już więcej. Panujesz nad swoimi impulsami gorzej niż trzyletnie dziecko.

- Po prostu przywykłem, że dostaję wszystko, czego chcę - powiedział wyniośle.

- No, ale przecież mnie nie chcesz, prawda?

- Oczywiście, że nie! - wykrzyknął zniecierpliwiony już najwyraźniej grą, którą prowadził. Znow zaczął się irytować. - Jest wprost przeciwnie. Chcę się ciebie pozbyć.

- Szkoda - powiedziała z naciskiem - bo wcale nie zamierzam odejść.

- Gdybym chciał, doprowadziłbym cię do załamania.

- No proszę, czekam - rzuciła wyzwanie.

Zdziwił samego siebie.

Mógł przecież zetrzeć ją na proch. Ale nie zrobił tego. Nie wiedział nawet dlaczego. Nie miało to nic wspólnego z pocałunkiem, na pewno nie. Według jego standardów był to zresztą całkiem niewinny pocałunek. Tak jakby zanurzyć wargi w górskim strumieniu, którego woda jest czysta, świeża i lekko słodkawa.

- Nie zapomnij włożyć swoich głupich rękawiczek - mruknął oschle. -
Cement wyżre ci ręce.

W jej oczach dostrzegł zdumienie.

- Żądanie od pracodawcy odszkodowania za parę zadrapań jest w bardzo kobiecym stylu.

Zdziwienie w jej oczach znikło. Potrząsając głową, wróciła do pracy, Patrzył na nią zmrużonymi oczyma. Nie była nowicjuską. Musiała już kiedyś wykonywać taką pracę. I kiedy próbował racjonalnie o tym pomyśleć, nie mógł doszukać się przyczyny, dla której kobieta miałaby robić takie rzeczy. Zauważył, że w pracach, które nie wymagały wielkiej siły, była znacznie szybsza i dokładniejsza niż Jeleń.

Pochyliła się i zaczęła stukać w dolną część formy. Racjonalne myślenie przestało mu nagle wychodzić. Patrzył na nią. Dziewczyna dentysty. Wielka szkoda.

Wyprostowała się. Słońce padało na jej bluzkę i wyraźnie widział zarys jej ciała. Promienie słońca załamywały się w jasnych lokach dziewczyny.

Musi się jej pozbyć, zanim nie zacznie doprowadzać go do szaleństwa.

Jednak w czasie lunchu wciąż jeszcze była na budowie. W obcesowy sposób wręczył jej dokumenty potrzebne do opłacenia podatków i ubezpieczenia.

Po jakimś czasie oddała mu je. Jej pismo było staranne, drobne i kobiece. Na imię miała Janey. Janey Smith. Jedno z najczęstszych nazwisk, jakie słyszał, a jednak jakoś do niej pasowało.

Janey. Nie wiedzieć czemu, to imię kojarzyło mu się z jasnożółtymi kaczeńcami i czystym górskim strumieniem. Musiało to być chyba wczesne stadium obłądu.

- Hej, szefie, mój kumpel Bud powiedział mi w Oazie, że za kobietę na budowie dostaniesz pewnie specjalny fundusz.

- Powiedziałeś komuś, że ona tu jest?

- Oczywiście. A co to, tajemnica?

- Już teraz nie - mruknął.

W tym, co mówił Jeleń, mogło coś być. Kiedyś już chyba czytał, że pracodawcom zatrudniającym kobiety na nietypowych stanowiskach przysługują jakieś pieniądze.

Skoro już tu była, właściwie mógłby to sprawdzić. Ponadto łatwiej byłoby mu się wytłumaczyć przed kumplami, do których dotrze wiadomość, że pracuje u niego kobieta. W końcu pieniądze to najważniejsza motywacja facetów pracujących w tej branży. Jeśli rzeczywiście przysługiwały pieniądze za zatrudnienie kobiety, być może wkrótce pojawi się ich na budowach o wiele więcej.

Chociaż pewnie nie.

Wygląda na to, że tylko on będzie nosił ten krzyż.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Szefie, nie każ jej już więcej nosić podpór. Są zbyt ciężkie.

- To ona chciała tej pracy - odparł zimno Blaze.

Właśnie mijał Dzień Piąty. Tego ranka wstał z pieśnią na ustach, mając całkowitą pewność, że dziś odejdzie. Poprzedniego dnia pracowała pełne dwanaście godzin, wykonując najcięższe prace, jakie zleca się mężczyźnie... lub kobiecie.

Dziś od rana realizował podobny plan. Było już południe i jego nadzieja zaczęła słabnąć. Był rozdrażniony. Czas, by sięgnąć po najsilniejszą broń. Był zły na siebie. Pamiętał swoją pewność, że będzie miała dosyć po trzech godzinach, a tymczasem mijał już piąty dzień. Nie było jej łatwo, ale nie wyglądało na to, by się załamywała.

- Powinieneś się wstydzić.

Słyszając to, Blaze omal nie uciął sobie piłą palca. Podniósł deskę, którą przycinał i cisnął ją tak mocno, jak tylko potrafił. Nigdy nie przypuszczał, że nadejdzie dzień, w którym Jeleń będzie mu mówił, że powinien się wstydzić. Wszystko przez kobietę. Wstyd. Takich słów używają matki i babcie, a nie dwumetrowi robotnicy.

A jednak tkwiło w nim ziarno wstydu. Przypuszczał, że to właśnie ono czyni go tak rozdrażnionym. Zachowywał się jak dziesięcioletni chłopiec, który obawia się, że straci odwagę. Ale nie zamierzał pozwolić nikomu, by widział jego wstyd. Pragnął okazać jedynie swoją złość.

- Wracaj do pracy - powiedział, wpatrując się w pracownika.

Jeleń skrzyżował swe potężne ramiona na piersi.

- Podpory są dla niej zbyt ciężkie.

- No i co z tego? Jeśli ma z tym problem, niech sama mi o tym powie.

- Jest na to zbyt dumna. Próbując udowodnić, że może nosić te ciężary, zrujnuje sobie serce.

- Jej sprawa - mruknął.

- Albo dasz jej inną pracę, albo odejdę.

Blaze nie wierzył własnym uszom. Pracowali razem od siedmiu lat.

Wszystko przez tę małą! Mglistą obietnicą przedstawienia go swej przyjaciółce złamała całą lojalność Jelenia. Zniszczyła ją, wkładając obciste dżinsy!

A jednak w głosie Jelenia było coś, co powstrzymało go od wybuchu.

Przesunął wzrok w miejsce, gdzie Janey usiłowała podnieść pięciometrową podporę. Widok był w zasadzie zabawny, ale nie było mu do śmiechu.

Ku swemu zaskoczeniu podszedł do niej.

- Połóż to - wrzasnął.

Zaskoczona, opuściła deskę.

- Nie masz za grosz rozsądku, czy co? - krzyknął.

- Ale przecież powiedziałeś...

- Nieważne, co powiedziałem! Nie życzę sobie żadnych wypadków przy pracy. Jeśli nie jesteś w stanie czegoś zrobić, to po prostu się do tego przyznaj. Co ty jesteś, pies pociągowy?

- Mogę to zrobić. - Znow zaczął go prowokować.

- Czy słyszałeś kiedyś określenie pokora?

- Dziwię się, że ty znasz to słowo - odparła.

- Posłuchaj, moja duszko, masz metr pięćdziesiąt i ważysz pewnie około 40 kilogramów. Nie możesz dźwigać podpór. Ważą prawie tyle co ty.

- Dlaczego więc na początku kazałeś mi to robić?

Żeby ci udowodnić, że nie możesz tego zrobić, przyznał w duchu. Znow poczuł falę wstydu.

- Byłem okrutny.

Patrzyła na niego. Jej usta, te prowokujące, pełne i zmysłowe usta, zaczęły się układać w podkówkę. W jej zielonozłotawych oczach pojawił się błysk, który nie wyrażał złości. Parsknęła, starając się opanować, ale nie mogła.

Wybuchnęła śmiechem. Brzmiał jak wodospad uderzający o skały.

Patrzył na nią w zdumieniu. Wyglądała pięknie. Była taka swobodna i naturalna. Boże, naprawdę chciał się jej pozbyć. Ale nie na tyle, by zapomnieć dla niej o swym sumieniu.

- Czy potrafisz trzymać piłę?

Przez jej usta przemknął łagodny uśmiezek. Cholera! Wpadł prosto w pułapkę. Była to chwila, na którą czekała.

W ciągu następnej godziny przekonał się, że potrafi mierzyć i używać piły. Praca nabrała tempa, jakie lubił. Przez tyle lat starał się pokazać Jeleniowi, jak pracować w sposób planowy, ale instrukcje te jakoś nie wchodziły mu do głowy.

Odwrócił się i spojrzał na Jelenia. Przez te lata stało się to już nawykiem. Sprawdzać i krzyczeć. Nieraz widział Jelenia oddalającego się w nieznanym kierunku, robiącego sobie przerwę na papierosa lub pracującego w żółtym tempie.

Kiedy ujrzał go teraz, zmarszczył brwi. Pracował. Naprawdę pracował. Był nawet spocony! Blaze zmrużył oczy. Od czasu do czasu Jeleń rzucał małe spojrzenie, sprawdzając, czy ona go zauważa!

- Hej, Clarence - krzyknął.

Jeleń spojrzał na niego zaskoczony.

- Dobra robota. - Nigdy przedtem nie widział takiego uśmiechu na twarzy Clarence'a. Jego spojrzenie przypominało wzrok porzuconego psa, którego nagle pogłaskano. Znow poczuł ukłucie wstydu. Do diabła! Jeśli zamierza zgłębiać tajniki duszy ludzkiej, powinien być pracownikiem socjalnym lub kimś równie humanitarnym.

Jeśli nie pozbędzie się tej kobiety, skończy się na tym, że ona nauczy go rzeczy, o jakich przez lata wolał nie wiedzieć.

Janey przez cały czas czuła jego obecność. Bardzo ją to rozpraszało. Kiedy pracowała z Jonathanem, nie czuła tego tak silnie.

Oczywiście, biuro dentysty było cywilizowane i bardzo konkretne. Tak naprawdę nie działa się tam nic „fizycznego”. Ludzie nie pocili się i nie zdejmowali koszul. Atmosfera gabinetu nie nasuwała na myśl pewnych podstawowych pragnień w stopniu, w jakim miało to miejsce w tym otoczeniu. To właśnie surowe warunki placu budowy przyczyniały się do zdejmowania masek.

No i oczywiście, Jonathan nie był takim okazem mężczyzny jak Blaze Hamilton, choć już samo przyznanie tego faktu napawało ją poczuciem winy. A jednak była to prawda. Widok jego rozwiniętych mięśni, widocznych spod koszuli i dżinsów, budził w niej coś bardzo niepokojącego.

Oczywiście ani on, ani Clarence nie byli w jej typie. A jednak jego obecności była świadoma znacznie bardziej niż obecności Clarence'a. Dostrzegając fizyczną atrakcyjność mężczyzny, który zniszczył jej ojca, czuła się jak zdrajca. Zwłaszcza że była zaręczona z człowiekiem, który był całkowitym przeciwieństwem Blaze'a Hamiltona.

Może powinnam zostać pracownikiem socjalnym i studiować zagadki ludzkiej natury, pomyślała z ironią. Nie, nie ma tu nic zagadkowego. Wszystko to była prosta, czysta natura. Biologia, nie psychologia. Kobieta w sposób naturalny zainteresowana najbardziej dominującym, najlepiej przystosowanym okazem swego gatunku.

Dzięki Bogu, że istoty ludzkie mają mózgi i dusze, równoważące te biologiczne popędy i zapobiegające niepotrzebnym problemom. Rzuciła mu kolejne spojrzenie. Tak, ten mężczyzna, gdy miał na sobie obcisłe dżinsy, stawał się powoli problemem.

Pełna determinacji, całą swą uwagę skoncentrowała znów na planie budowy, zmierzyła kolejny odcinek i przycięła drzewo.

Uśmiechnęła się, czując zapach ciętego drewna, a następnie, widząc jak Blaze zrzuca z ramion niesioną podpórę, zadrżała. Umocował ją dokładnie tam, gdzie zamierzał i dwoma uderzeniami młotka wbił gwóźdź.

W głębi ciała poczuła dreszcz zdumionego podziwu. Biologia, upomniała samą siebie. Odwróciła się, uniosła kawałek drewna, który właśnie przycięła i zaniósła go w miejsce, gdzie pasował do reszty. Umieściła go tam, przybijając nogą.

Miała dziwne wrażenie, że pod jej ciężarem podłoga poruszyła się i przesunęła. Oczywiście bywa, że budynki, zanim osiadą, chwieją się jeszcze trochę. Odwróciła się więc i zaczęła iść w stronę piły.

I wówczas to wrażenie ruchu pojawiło się znowu. Rozejrzała się niepewnie dokoła. Gdy dostrzegła wyraz twarzy Blaze'a, wiedziała już, że jest niedobrze. Zwykły wystudiowany cynizm jego przystojnej twarzy przerodził się w grymas przerażenia.

Sam nie wiedział, czemu właśnie w tej chwili odwrócił się w jej stronę, musiał mieć chyba jakieś przeczucie lub też kątem oka dostrzegł ruch.

Podłoga ruszała się!

- Uciekaj! - krzyknął.

Ale ona stała w miejscu jak żeglarz na miotanym sztormem statku, wpatrzona w załamującą się podłogę z wyrazem niemego zdziwienia w oczach

- Rusz się! - krzyknął znowu.

Wbiegł na ruchomą płaszczyznę. Rozhuśtał się na dobre, z trudem łapał równowagę. Nic jednak nie było w stanie go zatrzymać. Zmierzał prosto w jej stronę.

Złapał ją za przegub i przyciągnął do siebie z gwałtownością, jakiej sam się nie spodziewał.

Przywarła do jego piersi. Objął ją wpół, świadom drobnego, głupiego szczegółu, jaki umysł rejestruje nieraz w krytycznych sytuacjach. Niemal cały obwód jej talii zmieścił się w jego dłoniach. Uniósł ją do góry, a pewna część jego umysłu uparcie koncentrowała się na niepotrzebnych szczegółach. Stwierdził, że jest lekka jak piórko, ale przyjemnie zaokrąglona we wszystkich właściwych miejscach.

O ile jego umysł pracował wolno, analizując każdy szczegół, to jego ciało działało w pośpiechu. Przerzucił ją sobie przez ramię i szybko uciekał w stronę twardego gruntu.

Dlaczego dom się wali? - zastanawiał się spokojnie. Czy pozostała część też upadnie, gdy do niej dobiegnie? Cholera! Dlaczego ona pachnie jak mieszanka cytryn i wody źródlanej?

Podłoga niemiłosiernie zaskrzypiała, a po chwili, trzeszcząc, zaczęła zapadać się tuż za nim. Mobilizując całą swą siłę, skoczył w kierunku stabilnej powierzchni, świadom, że musi pokonać znajdujący się pod nimi, naszpikowany podporami, otwór.

Lądowanie było bolesne. Rzucił się do przodu, lecz zamiast wypuścić ją z rąk, przytrzymał jeszcze mocniej. Błąd. Uderzając o podłogę z koszmarnym łomotem, wylądowała na plecach. Z przodu przygniótł ją ciężar jego spadającego ciała.

Niemal natychmiast zeskoczył z niej, czując się jak niedźwiedź, który tratuje polny kwiatek. Nie wiedzieć czemu ogarnęła go nagle fala dziwnego osłabienia.

Panowała niesamowita cisza, a z miejsca, gdzie spadła podłoga unosił się obłoczek brudu i pyłu drzewnego. Milczenie przerwane zostało przez delikatny odgłos, jaki wydała Janey, próbując złapać oddech.

Tak przynajmniej sądził, zanim nie spojrzał w jej stronę i nie przekonał się, że płacze.

Unióś się do pozycji siedzącej i patrzył, na nią, leżącą na plecach i wpatrującą się w niebo z tym samym wyrazem zdziwienia na twarzy. Tylko że teraz te niesamowite, zielonożółtawe i zwykle tak przejrzyste oczy przesłonięte były chmurą łez, żłobiących ślady na pokrytych pyłem policzkach.

- Do diabła - mruknął.

Gorączkowo myślał, co powinien zrobić. Na szkoleniu z bezpieczeństwa pracy otrzymał przecież najwyższe noty. Ale jego umysł pracował wolniej i podsuwał mu wciąż ten sam pomysł.

Obejmij ją.

Uniósł ją i przytrzymał przy sobie. Jej policzek znalazł się w zagłębieniu jego szyi. Był miękki i jedwabisty jak płatek róży. Łza spłynęła po jego koszuli i kapnęła na włosy porastające klatkę piersiową. Drżała jak kociak pozostawiony na pastwę losu w czasie burzy. Jej loki łaskotały go w nos i poczuł świeży zapach cytryn i wody źródlanej.

- Do diabła - powiedział raz jeszcze, tym razem delikatniej.

- Co się stało, szefie? Czy Janey jest ranna?

Zdumiał go ten głos. Przed chwilą zdawało mu się, że są jedynymi ocalałymi rozbitkami na bezludnej wyspie.

Ujrzał Jelenia i Tuffy'ego, ze zdumieniem wpatrujących się w zapadniętą podłogę, a następnie w nich dwoje.

Blaze musiał wyraźnie i stanowczo odsunąć Janey, by uwolnić się spod miękkiego i słodkiego ciężaru. Usadził ją i wstał.

- Chyba nie. - Spojrzał na nią. - Czy nic ci nie jest? - Gdyby wygłosił takie zdanie na egzaminie z udzielania pierwszej pomocy, nie pozwoliliby mu pewnie nawet na doglądanie rannych muszek.

- Nie, wszystko... - tu głos jej się załamał - ...dobrze - dodała słabo, energicznie ocierając łzy rękawem.

W normalnych warunkach powinien dokładnie sprawdzić, czy nie ma żadnych ran bądź zadrapań. Ale nic nie było normalne. Cały świat zdawał się wirować, lecz tym razem nie z powodu pękniętej podłogi. I nie mógłby już jej dotknąć nie popadając jednocześnie w zakłopotanie. Do diabła! Kobiety! Zaczerpnął głębokiego, uspokajającego oddechu.

- Co się stało? - ponowił pytanie Jeleń.

- Nie wiem, co się do diabła stało - wysapał.

Był to jednak świetny pretekst, by odwrócić uwagę od niej, zwiniętej na podłodze ze zbolałym wyrazem twarzy i oczami dziecka, które spadło z roweru.

Tylko że dzieci nie wywoływały w nim tych śmiesznych, nie kontrolowanych pragnień. A tym bardziej rowery.

Stwierdził, że widocznie też jest w szoku. Jego umysł stracił jakąkolwiek zdolność racjonalnego myślenia.

Co się stało? - przypomniał sobie zadane przed chwilą pytanie.

Nie wiedział, co stało się z domem i nie wiedział, co stało się z nim, kiedy trzymał w ramionach ten miękki, pachnący słodyczą kłębuszek. Ale wiedział, że, cokolwiek by to nie było, zwiastowało totalną katastrofę.

Podszedł do krawędzi ocalałej podłogi i przyglądał się stercie połamanych podpór i bali. Przez chwilę pomyślał z ulgą, że nikt nie został poważnie ranny. Ze jej nie stało się nic groźnego. Ale tylko przez chwilę. Potem przyszła zaduma. Przez wszystkie lata pracy w zawodzie nigdy nie widział czegoś podobnego. Nigdy nie słyszał, by coś takiego się przydarzyło. Co spowodowało zapadnięcie się podłogi?

Wzruszył ramionami i wrócił do reszty. Jeleń poklepywał Janey po ramieniu, starając się ją pocieszyć, a jego twarz zdradzała ogromne przejęcie.

- Usłyszysz pewnie słowa, jakich nigdy dotąd nie słyszałaś - ostrzegł Janey, widząc zbliżającego się Blaze'a.

Tuffy stał spokojnie, nieznacznie się kiwając. Na jego widok Blaze chrząknął z uznaniem. Oto mężczyzna, który wiedział, jak należy się zachować - jednakowo obojętny wobec kryzysu na budowie i kobiecego płaczu. Rzucił Janey kolejne spojrzenie, będące połączeniem troski i gorzkiego żalu do samego siebie za tę nie chcianą troskę. Następnie obszedł dom dookoła.

Janey posłała Clarence'owi słaby uśmiech. Wolałaby, aby przestał już poklepywać ją po ramieniu, ale nie miała serca odrzucać jego troskliwego pocieszenia. Kiedy Blaze zszedł z podłogi, nie spojrzała na niego. Po chwili słyszeli go buszującego po zwaliskach w wykopie.

Była wciąż w szoku. Ale nie tyle z powodu samego wypadku, co z powodu poczucia ciepła i bezpieczeństwa, jakiego doznała w ramionach Blaze'a Hamiltona. Z powodu sposobu, w jaki działał na nią jego silny, naturalny, męski zapach oraz wyrównany rytm jego serca, napęłniając ją usypiającym wręcz zadowoleniem. Siła, z jaką ją trzymał, niweczyła lęk i koła ból związany z upadkiem.

- Jeleń, Tuffy, chodźcie tutaj! Zaraz!

Wymienili spojrzenia. Janey skoczyła na równe nogi.

- Ty nie musisz - powiedział Jeleń stanowczo.

- Nic mi nie jest.

Mówiąc szczerze czuła się, jakby przejechał ją szesnastotonowy walec. Ostrożnie sprawdziła swe kończyny, Nie miała złamań, była tylko poobijana, a jej siła fizyczna doskonale korespondowała z emocjonalną.

- Nie powinnaś być w pobliżu Blaze'a, gdy jest w takim stanie.

- Poradzę sobie - odparła z dumą.

Musi sobie poradzić. I tak już wystarczyło, że płakała, co zapewne po raz pierwszy zdarzyło się na budowie u Hamiltona. Nie mogła teraz okazać nadmiernej wrażliwości na jego nastrój, choć spodziewała się najgorszego.

Jeleń, najwyraźniej nie przekonany, wzruszył ramionami. Zeszła za nim po drabinie do poziomu piwnic.

- Zaczynjcie to sprzątać - warknął Blaze nie patrząc na nich.

Widziała szerokie mięśnie jego pleców, gdy wyciągał z wykopu połamane części. Jeśli uda mu się w ten sposób wyładować wściekłość, powinien zdobyć medal olimpijski.

- I szukajcie wspornika. Niech no tylko znajdę ten bubel, już ja...

Staął, odwrócił się i popatrzył na nią. Był tak pochłonięty poszukiwaniami, że zdziwiła się, iż w ogóle zauważył jej obecność.

- Nic ci nie jest?

Oschłość jego tonu sprawiła, że poczuła się dotknięta. Zatęskniła za delikatną troską, którą czuła, gdy usadowił ją sobie na kolanach i otoczył opiekuńczymi ramionami.

Ale to była wyjątkowa sytuacja. Wszystko było takie nierealne, a teraz gwałtownie powrócili do rzeczywistości.

- Tak sędzę.

- Jeśli nie wiesz, każę komuś odwieźć cię do szpitala, żeby się upewnić.

A więc to nie on ją odwiezie i chyba także nie przestanie ciskać w nią tych zimnych wściekłych słów. Dlaczego był zły? Dlatego, że przyłapano go na chwili nie kontrolowanej czułości? Z jednym z członków swej ekipy.

- Dlaczego jesteś zły? - spytała, krzyżując ramiona na piersi.

- Mój dom właśnie się zawalił - odparł, kładąc tyle nacisku na słowa „mój” oraz „dom”, że mógłby zrobić wrażenie na całym pułku marynarzy. - Mam skakać z radości?

Była pewna, że ten gniew ma głębsze przyczyny, ale nie chciała naciskać.

- Nie potrzebuję jechać do szpitala. Nic mi nie jest.

- Nie wyglądasz, jakby nic ci nie było. Jesteś mniej więcej koloru włosów mojej ciotki Matyldy: cała sina z niebieskimi obwódkami. Na dziś dosyć wypadków. Jeśli zamierzasz zemdleć, zrób to gdzieś indziej.

- Jestem po prostu wstrząśnięta - powiedziała uparcie. - A poza tym nigdy nie mdleję.

- A mnie nigdy nie zawałają się domy. Jest to pierwszy i jedyny raz.

- Nie zemdleję - powtórzyła stanowczo.

- To dobrze, bo zwykle, kiedy trzymam kobietę w ramionach, to nie po to, żeby stosować sztuczne oddychanie, i chciałbym, żeby tak już zostało. - Powiedział to z głębokim przekonaniem mężczyzny, który postanowił nigdy więcej jej nie dotykać.

- Gdybym nawet zemdlała, wolałabym upaść na podłogę, niż być ratowana przez ciebie - odparła zirytowana jego męską arogancją.

- No to ruszaj do roboty. Myślisz, że płacę ci dziesięć dolców za godzinę stania i litowania się nad sobą?

- Nie lituję się nad sobą! - wypaliła z godnością.

- Ale też nie pracujesz, prawda?

Przecież zostałam ostrzeżona, gorzko przyznała w myślach. Jeleń uprzedził, że nie powinnam się do niego zbliżać.

Był w fatalnym nastroju. Zauważyła napięcie blokujące mięśnie jego ramion i zaciskające dłonie w pięści.

- Blaze?

- Co znowu?

- Dziękuję ci - powiedziała słodko.

- Za co?

- Za oderwanie mnie od tej podłogi. Być może uratowałeś mi życie.

- Nie sądzę - powiedział ponuro. - Być może oszczędziłem ci jednego czy dwóch złamań. I coś jeszcze: nie zrobiłbym tego dla mężczyzny! Poczekałbym, aż sam się wyplącze.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- To jasne.

- To dobrze. A teraz do roboty.

Powoli sprząтали podpory i bale z powierzchni piwnic. Zniszczeniu uległo zadziwiająco mało - parę kawałków pękniętego drzewa i mnóstwo pogiętych gwoździ.

Ale nigdzie nie było wspornika - Metalowego walca podtrzymującego główną podpórę i tym samym cały ciężar budynku. Większość domów miało ich trzy, ale ten, ze względu na swą wielkość, miał aż sześć. Pięć z nich pozostało na miejscu, co wyjaśniało, dlaczego runęła tylko część budynku.

- Jeleń, Tuff, idźcie na lunch. Ty - syknął w stronę Janey - zostajesz tutaj.

Wiedziała, co nadchodzi i przygotowała się. Stali w półmroku piwnicy i patrzyli na siebie.

- Ty miałaś zamocować wsporniki - stwierdził cicho.

Jego przystojna twarz nie nosiła już śladów gniewu. Przybrała wyraz zimnego, twardego głazu.

- Zamocowałam je, Blaze.

- Zrobiłaś pięć.

- Zrobiłam sześć.

- Jeśli byś zrobiła sześć, dom nie zawaliłby się na moich oczach. Jeśli popełniłaś błąd, przyznaj się do niego. Sam też go popełniłem. Powiniennem był sprawdzić, czy wszystkie zostały właściwie umocowane.

- Zamocowałam wszystkie - twierdziła uparcie.

- Więc dlaczego dom runął?

- Nie mam pojęcia - odparła. Nie mogła uniknąć bezwzględnego, niebezpiecznego błysku w jego oczach. Stale tam powracał. - Może to ty pragnęłaś się mnie pozbyć, bardziej niż przypuszczałam.

Na jego szyi pojawił się rumieniec.

- Co ty mówisz?

- Że taki błąd stanowiłby dobrą podstawę do legalnego zwolnienia pracownika, czyż nie?

- Możesz to sobie darować - odparł z lekką drwiną. - Uważasz, że narażałbym ludzkie życie, po to, by pozbyć się takiej małej istotki. Równałoby się to zrzuceniu bomby atomowej na muchę.

- Może miałaś jakieś inne motywy - twierdziła uparcie.

- Na przykład? - spytał z drwiną tak wyraźną, że powinna właściwie się wycofać.

- A co z ubezpieczeniem? Nie pokryje tego? Parsknął jak byk przed walką.

- No to mnie przeprosisz, i to szybko.

Niezbyt przyjemnie być oskarżanym o coś, czego się nie zrobiło, prawda, Blaze? - Szybko wycofała się ze swego przypuszczenia. Uświadomiła sobie, że nie powinna o nic posądzać Blaze'a wprost.

- O, do diabła z uczuciami. Nie posiadam żadnych, a twoje mnie nie obchodzą. W tej chwili chcę jedynie wiedzieć, dlaczego ten dom runął. Jestem całkowicie pewien, że tego nie zrobiłem!

- Zamocowałam wsporniki.

- Dowody wskazują na to, że tego nie zrobiłaś.

- Nie ma żadnych dowodów.

Nagle zdała sobie sprawę, że przecież brakuje wspornika. Najwyraźniej to samo dotarło teraz do niego. Odwrócił się i raz jeszcze powiódł wzrokiem po wykopie.

- Więc, gdzie jest do diabła ten brakujący wspornik? - zastanawiał się. - Wczoraj przyniosłem tu wszystkie sześć.

- No właśnie. Pięć z nich stoi. Gdybym zapomniała, szósty powinien gdzieś tu leżeć. Gdzie jest?

Mrugnął oczyma.

- Dobre pytanie - przyznał.

Wpatrywał się w zwisającą podporę. Nagle z jego twarzy zniknął wyraz złości i groźby. Wyglądał po prostu na wyczerpanego. Niedbałym ruchem przejechał dłonią po włosach.

- W miejscu, gdzie był przyczep, są dziury po gwoździach - jego głos był niski i bezbarwny. - Może się pomyliłem.

- Może? - naciskała.

- Jak na taką drobinę, jesteś niezwykle uparta, prawda? W porządku, byłem zmartwiony i zacząłem rzucać oskarżenia. Może jakieś dzieci dostały się tu w nocy i wzięły wspornik. Nie wiem, co się stało - odparł niechętnie.

- Ja też przepraszam - powiedziała z ociąganiem.

- Ach, wyjdź już stąd. Idź na lunch.

Kiedy wyszła z wykopu, Jeleń już jadł. Posłał jej uważne spojrzenie.

- Pracujesz tu jeszcze? - spytał.

- Tak myślę - odparła bez entuzjazmu.

- Blaze musiał dać upust swej złości. Nie przejmuj się nim. Błędy się zdarzają.

- Ja tego nie zrobiłam!

- Och!

- Blaze sądzi, że może jakieś dzieci... w nocy. Jeleń rozpromienił się.

- Możliwe. Bo przecież nigdzie nie ma tego wspornika, prawda?

- Nie. Czy coś takiego zdarzyło się kiedykolwiek przedtem? - Tak naprawdę nie miała ochoty udawać detektywa, ale przypomniała sobie, że przecież jest tu nie bez powodu. To, co się stało, mogło stanowić pierwszy ślad, choć Blaze, zapytany o ubezpieczenie, wydawał się mówić prawdę.

- Nie. Szef naprawdę uważa na bezpieczeństwo.

Lunch zjadła w ponurej ciszy. Blaze Hamilton denerwował ją. Był nierozsądny, nieznośnie uparty, wybuchowy, niesprawiedliwy i pochopny w wyciąganiu wniosków.

Ale ten człowiek uratował jej tego ranka życie. Była tego całkiem pewna, choć on usiłował pomniejszyć swe zasługi.

Jakoś nie mogła odnaleźć w sobie nienawiści, na jaką zasługiwał.

Szpital był cichy, a lampy na suficie odbijały blask wypolerowanej podłogi. Przed pokojem 301 Janey zawahała się, po czym, biorąc głęboki oddech, weszła do środka.

Siedział na łóżku podtrzymywany podłożonymi pod plecy poduszkami, ale oczy miał zamknięte. Z nosa wystawały mu rurki i był podłączony do kroplówki. Jego twarz była mizerna i szara.

Miała przed sobą cień własnego ojca, cień wielkiego silnego mężczyzny, który kiedyś głośno się śmiał.

- Cześć, tatusiu - dotknęła jego ramienia. Otworzył oczy i uśmiechnął się z przymusem.

- Janey, kochanie. - Jego głos był już zaledwie szeptem. Przemęczone oczy były pozbawione blasku.

Nie została długo. Wiedziała, że nawet krótkie wizyty wyczerpują go. Mężczyzna, który niegdyś mógł przez dziesięć godzin dziennie wbijać gwoździe, teraz słabł po wypowiedzeniu słów powitania.

Poczuła się oszukana. Gdzie był jej dawny ojciec? Czy kiedykolwiek powróci?

Wszystko to była wina Blaze'a Hamiltona. Uratował jej dziś życie, ale czy można mu wybaczyć doprowadzenie do śmierci jej ojca? Gdyby w jakiś sposób można było odwrócić to, co stało się osiem lat temu, czy ojciec miałby jeszcze jakąś szansę?

Tego wieczora uświadomiła sobie, że ojciec umiera. Wiedziała, że tylko cud mógłby temu zapobiec. Czy wymierzenie sprawiedliwości Blaze'owi Hamiltonowi, po tylu latach, stałoby się tym cudownym bodźcem przywracającym zdrowie jej ojcu? Pozwalającym mu odnaleźć wolę życia? Tego wieczora wyglądał na człowieka kompletnie zrezygnowanego. Załamało ją to. Nienawidziła sytuacji, nad którymi nie miała kontroli.

Musi dostać Blaze'a Hamiltona.

Musi uwierzyć, że to on spowodował dzisiejszy wypadek, by osiągnąć jakąś, nie znaną jej jeszcze, korzyść.

Ale dowie się. Przysięgła sobie, że się dowie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Janey! Nie!

O mały włos nie uderzyła się o kozioł do cięcia drewna. Ton głosu Blaze'a, a może przede wszystkim fakt, że użył jej imienia, sprawiły, że stanęła jak wryta.

Odwróciła się i obrzuciła go badawczym spojrzeniem. Szedł w jej stronę z piorunującym wyrazem twarzy.

Okazało się, że chodziło mu właśnie o ten kozioł. Z fascynacją obserwowała, jak podnosi go, przeklina, a następnie wrywa z niego nogę, tak jakby to była wykałaczką. Otworzyła usta ze zdziwienia.

Spostrzegł wyraz jej twarzy i jego twarde rysy rozjaśnił słaby uśmiech.

- To tylko wyglądało tak imponująco. - Wyrwał drugą nóżkę.

To wyglądało bardzo imponująco! Jego dobry humor znikł tak szybko, jak szybko się pojawił. Jęknął.

- Popatrz.

Podał jej kozioł. Przyjrzała się jednej z tkwiących w nim nóg.

Wyglądały normalnie, ale po dokładnym obejrzeniu dostrzegła linię cięcia. Noga została przecięta i dosłownie wisiała na włosku. Odłożyła kozioł. Żadne z nich się nie uśmiechało.

- Jeleń o mało nie zabił się dziś rano, używając jednego z nich.

- Jednego z nich? - powtórzyła.

- Dopiero kiedy spostrzegłem, że podchodzisz do tego, zdałem sobie sprawę, że wszystkie mogą być uszkodzone.

- Ktoś mógłby się poważnie zranić - powiedziała powoli.

- Tak. - Odrzucił złamany kozioł na bok i podszedł do następnego.

Wyrwał jego nogi bez trudu.

Patrzyła na niego niepewnie. Co się dzieje z tym domem? Blaze wydawał się autentycznie przejęty wypadkiem. Poza tym, co zyskałby mając rannych pracowników?

- Jak myślisz, kto to zrobił? - spytała.

- Sądzę, że dzieciaki - powiedział, ale w jego głosie nie wyczuwało się przekonania.

Ktoś zadał sobie z kozłami o wiele więcej trudu, niż warto było poświęcić na zwykły kawał. Ale przecież przyszła tu po to, by doszukać się nieprawidłowości i właśnie je znajdowała. Nieraz niezrozumiałe szczegóły układają się w doskonale zrozumiałą całość.

Może zamierzał w przyszłości spalić ten dom i przygotowywał grunt pod zrzucenie winy na te same „dzieciaki”? Będzie miał wielu świadków, że już przedtem dokonywano tu aktów wandalizmu.

Blaze znów spojrzał na Janey. Miała na sobie męski, przynajmniej o trzy numery za duży, podkoszulek. Wpuściła go w obcisłe dżinsy i wyglądała bardzo pociągająco. Lekka opalenizna, która, pomimo nabożnego stosowania kremów ochronnych, nadawała jej skórze złotawy odcień i parę piegów na nosie, wszystko to tworzyło nader atrakcyjną kombinację.

Ale spojrzenie, jakim go obdarzyła, nie było pociągające. Było wściekle i pełne oskarżenia.

Popatrzył na nią wyzywająco. Odwróciła wzrok. Jednak widok pełnego frustracji gniewu, który dostrzegł w jej oczach, nie opuszczał go.

Nagle uznał, że musi natychmiast zakupić nowe kozły. Przypomnił sobie również o innych rzeczach, które ma do załatwienia w mieście.

Z wściekłością odrzucił ostatni ze zniszczonych kozłów. Wygląda na to, że ma wroga. Może nawet więcej niż jednego, pomyślał, patrząc na wyprostowane plecy Janey.

Westchnął. To chyba dlatego, że całe życie był wrogiem dyplomacji.

Godzinę później wysiadł ze swej ciężarówki i wyjął ze skrzyni nowe kozły. Zatrzymał się i spojrzał na wzgórze. Spóźniali się z robotą, ale po zawaleniu się podłogi było to zupełnie zrozumiałe.

Nie było zresztą najgorzej. Mimo zbliżającej się pory lunchu, nadal pracowali. Wszyscy, nawet Jeleń. Przyjemnie go to zaskoczyło. Janey i Jeleń stali pochyleni nad czymś.

- Moja piła! - krzyknął, wbiegając na pagórek. - Co wy wyrabiacie? - wrzasnął, wyciągając wtyczkę z kontaktu.

Janey odwróciła się i popatrzyła na niego. Przypomnił sobie, dlaczego tak nagle wyjechał. Z powodu luźnego podkoszulka i obcisłych dżinsów, a także z powodu lekko opalonej we wrześnieowym słońcu skóry i piegów rozrzuconych na nosie.

Bo kiedy odwróciła w jego stronę swe zielonożółtawe oczy, było w nich mnóstwo gniewu.

- Co robisz? - syknął.

- Uczę Clarence'a, jak mierzyć i używać piły.

- Dobrze sobie. Już próbowałem i uważam, że trzy zepsute piły to wystarczająca inwestycja w postępy edukacji Jelenia.

- Jak można zepsuć piłę? - spytała z niedowierzaniem.

- Już ci mówię. Za pierwszym razem przeciął sznur. Nie, dwa razy przeciął sznur, a tego trzeciego tak dokładnie nie pamiętam, ale wiem, że drogo mnie to kosztowało.

Mała wyglądała na zde gustowaną.

- Dobra - powiedziała, podłączając sznur. - Pozwól, że ci pokażę. - Podała piłę Jeleniowi.

- Nie będę tego robił przy nim - powiedział ponuro Jeleń.

Blaze otworzył usta ze zdziwienia.

- To ja podpisuję czek z twoją pensją, nie ona. Jeśli nauczyłeś się czegoś nowego, pokaż to mnie.

- Przy tobie się denerwuję - odparł Jeleń z uporem, wpatrując się w duży palec swej stopy.

- Ja cię denerwuję! - zaskrzeczał Blaze. - Jakoś nie denerwowałem cię tydzień temu. - Z wściekłością spojrzął na Janey. To była jej robota.

- Kiedy zaczniesz wrzeszczeć, staję się nerwowi. To dlatego przeciąłem sznury. Dlatego, dopóki będziesz tu stał, nic nie zrobię. Gdyby mi się nie powiodło, zacząłbyś wrzeszczeć i rzucać przedmiotami.

Blaze patrzył na niego z niedowierzaniem. Okazuje się, że to on denerwuje Jelenia.

- Kiedy Janey tłumaczy mi, jak należy coś zrobić, wszystko rozumiem. Nie wpada w szal, gdy coś mi nie wyjdzie.

- Bo to nie jej pieniądze przepadną, kiedy tobie coś nie wyjdzie!

- Pieniądze zawsze na pierwszym miejscu, prawda? - powiedziała, a jej głos przepelniony był niesmakiem.

- Właściwie tak - odparł. - A jeśli podpiszesz te papiery, będę ich miał jeszcze więcej. Rząd zapłaci połowę twojej pensji. - Rzucił w jej stronę dokumenty, które odebrał w mieście. Były pomięte.

Podniosła je, dokładnie wyprostowała, poprosiła o długopis i podpisała. Kiedy się pochylała, słońce opromieniło jej włosy i sprawiło, że nabrały miodowego odcienia.

- Jeśli rząd płaci ci połowę moich zarobków, mógłbyś mi dać podwyżkę. - Wręczyła mu papiery.

O rany, była naprawdę szybka. Poczul się jak w pułapce. Dopiero co oskarżyła go o pazerność, a teraz już szukała dowodów.

- Czy nie mówiono ci, że jesteś natrętna? Aluzje do podwyżki po tygodniu pracy nie są w dobrym stylu.

- To nie były aluzje. Od początku mówiłam ci, że chcę dwanaście.

Do diabła, należało jej się tyle. Nie nadaje się wprowadzić do najcięższych prac, ale też za najcięższe nie płaci się dwunastu dolarów za godzinę.

Jeśli da jej podwyżkę, pewnie już nigdy się od niej nie odczepi, pomyślał, wdychając słaby zapach cytryn, który zdawał się jej zawsze towarzyszyć.

- Pomyślimy o tym pod koniec miesiąca, jeśli jeszcze tu będziesz.

- Będę.

- Dlaczego? Praca dla takiego starego skapca nie sprawia ci chyba przyjemności.

- Przyjemność to nie wszystko.

Nie spodobał mu się sposób, w jaki to powiedziała. Dostrzegał delikatność tej kobiety. Kiedy rozmawiała z Jeleniem, była taka słodka i serdeczna. Ale kiedy kierowała uwagę na niego, była twarda jak kamień.

Właściwie zasłużył sobie na to. I nic go to nie obchodziło. Do diabła, czy kiedykolwiek przywiązywał wagę do tego, co myślał o nim jego współpracownicy? Co zresztą, według niej, było zapewne kolejnym przestępstwem z jego strony.

Wrócił do niego jej zapach, zmieszany z mgiełką promieni słonecznych i kolorem jej włosów.

- Ty - powiedział do Janey - pojedziesz do sklepu Harveya i kupisz parę haków rozporowych, żebyśmy mogli podnieść ściany. Weź ciężarówkę.

- Co to są haki rozporowe?

To takie haki, które pozwolą mi ciebie nie oglądać przez całe popołudnie, odpowiedział sam sobie. Głośno wyjaśnił:

- To jedna z tych nowinek technicznych. Haki rozporowe wykorzystują siłę przeciwstawną. A co ty byś chciała? Ich zdjęcia? Lepiej ruszaj w drogę i to szybko.

- Tajest - mruknęła pod nosem.

Rzucił w nią kluczykami, a ona je złapała. Patrzył za nią, nie mogąc oderwać wzroku od jej figury.

Ciężarówka ruszyła z piskiem opon. Z wdzięcznością pomyślał, że im szybciej zejdzie mu z oczu, tym lepiej.

- Szefie - spytał Jeleń - dlaczego wystawiasz ją na pośmiewisko?

- Przecież zawsze uważałeś to za śmieszne - przypomniał mu Blaze.

Jeleń zastanowił się.

- To prawda. To jest całkiem śmieszne. - Uśmiechnął się, co nadało mu wygląd dziesięcioletniego chłopca.

- Posłuchaj, Jeleń - powiedział Blaze niepewnie. - Wiem, że nie mam specjalnych umiejętności w zakresie współżycia z ludźmi. Mam niski próg frustracji. Nie mam wystarczająco dużo cierpliwości, by uczyć ludzi, jak dobrze pracować. Chcę, żeby praca została wykonana natychmiast oraz idealnie i dlatego często robię to sam.

- Wiem, szefie.

- Chcę tylko powiedzieć, że nigdy nie chciałem cię denerwować. Do diabła, zawsze myślałem, że to po tobie spływa. Po prostu od czasu do czasu używam sobie.

- W porządku, szefie. - Jeleń poklepał go po ramieniu z nieoczekiwaną delikatnością.

Do diabła, pomyślał Blaze, stajemy się nieznośnie sentymentalni. Gwałtownie odwrócił głowę, ale zdążył jeszcze dostrzec wyraz lojalności i sympatii na ogromnej twarzy swego pracownika. Poczul się bardziej wzruszony, niżby tego pragnął.

- W porządku, wracaj na elewację południową. Chcę ją mieć gotową do...

Spojrzał na Tuffy'ego. Tuffy po prostu pracował. Nie gadał, nie skarżył się, nawet nie zadawał pytań. Dzień w dzień robił to, czego od niego oczekiwano i jednakowym milczeniem kwitował pobory. Przez trzy lata, w czasie których pracował dla Blaze'a, wypowiedział może trzy słowa. Dzięki Bogu.

- Hej, Tuff, dobra robota - zwrócił się do niego Blaze.

Tuffy nawet na niego nie spojrzał, mruknął tylko.

Dobry facet, pomyślał Blaze z ulgą. Ach, żeby tak posłać tą Janey Smith wprost do diabła. W końcu nie kierował szkołą dobrych manier. Jeszcze dziś okaże się, kto się śmieje ostatni.

Janey weszła do sklepu Harveya. Lubiła zapach sklepów ze sprzętem technicznym i z rozmysłem zatrzymała się w progu. Nie spieszyła się. Nie miała ochoty wracać do tego mężczyzny, który pachniał słońcem, mydłem. Który miał na sobie lwią grzywę jasnozłoty włosów. Którego miedziana skóra pokryta była błyszczącymi kropelkami potu. Który miał mięśnie tak silne i twarde, że wyglądał jak stalowa statuetka.

- Słucham panią, czym mogę służyć? - spytał łysy mężczyzna.

Który był także głośny, niegrzeczny, gruboskórny i z gruntu zły, dokończyła w myślach. Z wysiłkiem odwróciła uwagę od obrazu mężczyzny, stale ją prześladowającego i skupiła się na mniej imponującym przedstawicielu gatunku męskiego.

- Jestem z firmy Hamiltona. Blaze potrzebuje kilku haków rozporowych.

- Do diabła, właśnie się ich pozbyłem. Nie będę ich miał przez najbliższy tydzień. Ale Blaze ma też kredyt w Big Bend Builder. Spróbuj tam.

Sprawdziła w Big Bend, u Kelly'ego i w Hardware Emporium. Dopiero tam poznała prawdę.

- Hej, Mike - zawołał współpracownika - Blaze Hamilton potrzebuje haków rozporowych. Mamy tam jakieś?

Usłyszała parsknięcie, po czym ujrzała zaciekawione spojrzenie, jakie rzucił jej z zaplecza pracownik.

- Niestety, nie mamy ich dzisiaj na składzie.

- Robi sobie ze mnie żarty, tak? - domyśliła się, czując wzbierający w niej gniew. Nie był w stanie zniszczyć jej fizycznie, więc zamierza teraz ją upokorzyć.

Miała nadzieję, że pewnego dnia, w wypełnionej po brzegi sali sądowej, będzie miała okazję opowiedzieć zebranym o tym człowieku. Jego dom zawalił

się. Jego kozły do cięcia drzewa straciły nogi. Wysłał mnie po haki rozporowe, które nie istnieją.

Sklepikarz roześmiał się.

- Tak, żartuje sobie. Zawsze to robi wobec nowicjuszy.

Wściekłość Janey znikła w mgnieniu oka. Robi to wobec wszystkich nowicjuszy? A więc Blaze ma poczucie humoru? Robi sobie żarty w czasie pracy?

To rewelacyjne odkrycie wypełniło jednak nieoczekiwanym ciepłem, że scena na sali sądowej została natychmiast wymazana z jej wyobraźni. Blaze nigdy nie zrozumiałby znaczenia tego odkrycia. A przecież oznaczało ono, ni mniej ni więcej, tylko to, że ją zaakceptował.

Posłała sprzedawcy szeroki uśmiech.

- Ile mógłby kosztować taki hak rozporowy?

- To żart. Coś takiego nie istnieje - odparł zaskoczony.

- Ale gdyby istniało, ile mogłoby kosztować? Zaczynał rozumieć do czego zmierza.

- Małą fortunę - powiedział z powagą. Wyjął księgę rachunkową. - Co by pani powiedziała na cztery sztuki po tysiąc dolarów każda?

- Brzmi nieźle - odparła, obserwując staranność z jaką wypisywał rachunek.

- Szkoda, że nie zobaczę wyrazu jego twarzy - powiedział, z szerokim uśmiechem, wręczając jej rachunek.

Janey wyskoczyła z ciężarówki i wbiegła na wzgórze. Blaze podszedł do niej, doświadczonego ruchem wsuwając po omacku młotek do kieszeni fartucha.

- Gdzieś ty się do diabła podziewała? - syknął. - Masz je? -

Wstrzymywała robotę przez całe popołudnie.

Tak samo jak on przybrała poważny wyraz, choć w jego szafirowych oczach dostrzegła błysk tłumionego śmiechu.

Podala mu kopertę.

- Jest na nie ogromny popyt. Musiałam je zamówić, ale będą tu już jutro rano.

Zobaczyła, że Jeleń przerywa swoją robotę i przysuwa się nieco bliżej. Nawet młotek Tuffy'ego zamilkł. Ale ona skupiła całą swą uwagę na zmarszczonych brwiach Blaze'a, otwierającego kopertę.

Wyjął dokument i powiódł po nim wzrokiem. Zauważyła, jak jego jasnoniebieskie oczy gwałtownie ciemnieją.

- Cztery tysiące dolarów? Za co? - wybuchnął.

- Za haki rozporowe - odparła niewinnie. - Nie o to prosiłeś? Mogłabym przysiąc, że właśnie o to. Zaczepy wykorzystujące siłę przeciwstawną, by podnieść ściany, czyż nie tak?

- Co ty do cholery narobiłaś? Co ty kupiłaś?

Zastanawiała się, jak długo pozwolić mu cierpieć.

Tuffy i Clarence znieruchomieli, czekając na jego wybuch. Wpatrując się w rachunek, odgarnął swe jasne włosy z czoła.

Oczy mu się zwięziły w małe błękitne szparki. Otworzył usta. Tuffy i Clarence przygotowali się na najgorsze.

- Ostatni śmiech - powiedziała cicho, nim zdołał się odezwać. - Kupiłam ostatni śmiech.

Następnie wzięła od niego rachunek, podarła go na małe kawałeczki i rozrzuciła na wietrze.

Najpierw roześmiał się Jeleń, a potem dołączył nawet Tuffy z paroma szorstkimi parsknięciami wyrażającymi rozbawienie.

Szef wpatrywał się w nią.

Dostrzegła w jego oczach ogniki śmiechu, po czym sztywna linia jego ust załamała się. Ramiona zaczęły drżeć, a potem odchylił do tyłu głowę. Był to głęboki, swobodny i pełen radości śmiech. Śmiał się z tym samym oddaniem, z jakim pracował, zatracił się całkowicie w swym rozbawieniu. Ona też się roześmiała. Wszyscy się śmiali.

I nawet gdy już przestali, zdawało się, że powietrze wokół nich przesycane jest dobrą, pogodną atmosferą.

Blaze uderzył ją lekko w ramię w geście spontanicznej serdeczności.

- Wracaj do pracy, Smith. Zmarnowałaś już wystarczająco dużo mojego czasu.

- A ty - nie pozostała dłużna - zmarnowałeś już wystarczająco dużo mojego czasu.

Te szorstkie słowa nie zburzyły dobrej atmosfery ani nie osłabiły prądu, który niemal boleśnie pulsował na drodze od jej ręki do serca.

To wtedy zdała sobie sprawę, że stało się coś złego. Uświadomiła sobie, że przez ułamek sekundy bardzo, ale to bardzo lubiła Blaze'a Hamiltona.

- Blaze, kochanie.

Janey odwróciła się. Wysoka zgrabna kobieta o długich, pięknych blond włosach wychylała się z okna niebieskiego sportowego samochodu. Miała na sobie purpurową letnią sukienkę, odsłaniającą dekolt i nogi. Wyglądała jak modelka reklamująca szybkie samochody, ciepłe kraje i drogą biżuterię.

- Powiedziałem wracaj do pracy - powtórzył Blaze.

Janey poczuła, że policzki jej płoną. Jak śmiała stać tak i przyglądać się... towarzyszce Blaze'a Hamiltona? Kto to był? Siostra? Mało prawdopodobne. Sekretarka? No cóż. Była to prywatna sprawa Blaze'a, nie wiedziała więc, czemu poczuła gwałtowny skurcz żołądka.

Poszła pracować na wschodniej elewacji, obok Clarence'a.

Od czasu do czasu rzucała uważne spojrzenie w stronę samochodu, przy którym rozmawiali Blaze i kobieta.

- Wygląda, co? - powiedział Jeleń, zaskakując Janey tym, że wie, gdzie wędrują jej spojrzenia.

- Zachwycająca - przytaknęła obojętnym tonem, który jednak źle skrywał zazdrość.

- Piękno jest tylko na powierzchni - powiedział Clarence, a lojalność, którą wyczuła w jego głosie, omal nie doprowadziła jej do płaczu. - Blaze zawsze ma wspaniałe dziewczyny.

- Czy ma dużo dziewczyn? - Starła się, żeby głos nie zdradzał stopnia jej prawdziwego zainteresowania.

- Damy szaleją za nim.

Nic mnie nie obchodzi, nawet gdyby miał harem, pomyślała.

- Ale on raczej nie zauważa zainteresowania, które wzbudza.

O, to już nie pasowało do obrazu, jaki chciała widzieć. Zachłannego, gruboskórnego, egoistycznego próżniaka.

- Właściwie stale ma jakieś dziewczyny, ale z reguły, w momencie gdy zażyłość staje się bliska i poważna, zaczyna kombinować, jakby tu się ich pozbyć.

O, to już było lepsze. Potwór łamiący dziewczęce serca. Pozbywający się kobiet jak mebli, choć one oddały mu najlepsze lata swego życia! Pożeracz serc, dodała natychmiast do listy jego grzechów.

- Zawsze wybiera kobiety, które są pretensjonalne. - Clarence z trudem wymawiał poszczególne sylaby tego słowa, ale gdy udało mu się wreszcie wymówić całość, był bardzo dumny.

Janey zmarszczyła czoło. Nie odpowiadało jej, że Clarence zdejmuje z Blaze'a winę za niepowodzenie tych związków.

- Szef to naprawdę fajny facet... No tak, jak na pożeracza serc.

- Ale wydaje mi się, że wybiera kobiety, które go wykorzystują.

Te słowa zmieniły jej wizję wydarzeń do tego stopnia, że nie pozostało nic innego, jak uśmieć się z własnej głupoty.

- No, no, widzę, że świetnie się dzisiaj bawisz - skomentowała Melanie.

- Robiliśmy sobie żarty z nowicjusza - spojrzał na nią z uznaniem. Boże, była naprawdę rewelacyjna.

- A co to było?

Opowiedział jej historię z hakami rozporowymi. Nie śmiała się. Robiła wrażenie średnio zainteresowanej. Postanowił nie mówić jej o zemście Janey.

- Wpadłam, bo zapomniałam dać ci rano czek do podpisania.

- Jaki czek?

- Pamiętasz, jak mówiłeś, że zapłacisz za sukienkę, która tak bardzo mi się podobała w Glass Unicorn?

- O, tak.

Podpisał czek, który mu wręczyła. Nie przypominał sobie żadnej rozmowy na ten temat.

- Ta różowa, o której ci mówiłam. Pomyślałam, że dokupię sobie do niej cienką złotą bransoletkę. Chyba nie potrzebuję nowego naszyjnika, chociaż...

Nic dziwnego, że nie pamiętał. Jego uwaga skierowana już była na coś innego. Z powrotem na budowę. Janey wbijała kołek. Była w tym całkiem niezła, chwyciła równomierny rytm. Usłyszał niski głos Jelenia, a następnie śmiech Janey. Był to nieoczekiwany dźwięk, zaskakująco delikatny na tle młotków, pił i męskich głosów. Jak ptak śpiewający na polu walki.

Melanie przerwała w pół zdania, odwróciła się i popatrzyła w stronę wzgórza. W tej właśnie chwili Janey przechodziła przez podłogę domu ze świeżo uciętym kołkiem. Jej kobiecego chód nie budził najmniejszych wątpliwości. Melanie popatrzyła na niego zimnym i ostrym wzrokiem.

- To nie chłopak. To dziewczyna.

- Częściowo masz rację - odparł bezbarwnym głosem. - To kobieta.

Nie mógł uwierzyć, że słyszy to feministyczne sprostowanie ze swych własnych ust. Miał ochotę wyszorować je wodą z mydłem.

- Twój nowicjusz jest kobietą?

Oho, walka rozpoczęta, pomyślał, dostrzegając jej zimny wzrok i wychwytyjąc lekkie podniesienie głosu.

Skrzyżował ręce na piersiach.

- No i co z tego?

- Mogłeś powiedzieć mi to wcześniej.
- Nigdy przedtem nie interesowałaś się tym, co się tu dzieje.
- Nie próbuj mi wmówić, że nie interesuję się twoją pracą.
- Bo się nie interesujesz.
- Blaze, starasz się zmienić temat.
- Nie ma tematu. Moja firma jest moją firmą. Nigdy przedtem cię nie

interesowała i nie powinna interesować cię teraz.

- Nie chcę, żeby tu pracowała.

Z jakiegoś powodu postanowił nie przyznawać się przed Melanie, że już od ponad tygodnia dzieli z nią ten pogląd.

- Czyżby? - sprowokował, mając nadzieję, że z jego tonu wywnioskuje, że znajduje się na bardzo śliskim gruncie.

Nie wyczuła tego.

- Blaze, chcę, żebyś się jej pozbył. I to natychmiast. To moje ostatnie słowo.

- Twoje ostatnie słowo? - powtórzył z niedowierzaniem.

Był zdziwiony, że aż do tej chwili Melanie nie wiedziała, iż najgorszym sposobem załatwiania z nim czegokolwiek jest wydawanie poleceń.

- Dziewczyna na budowie. To ostatnia rzecz, jaką chcę widzieć, kiedy przychodzę tu z wizytą.

Nie dowierzał jej kompletnej ślepoty wobec tego, co wyrażało jego ciało, nie mógł zrozumieć, jak można być tak bardzo skupioną na sobie. W ciągu ośmiu miesięcy była na tej budowie może trzy razy. Zawsze z książeczką czekową.

- Niezbyt mnie interesuje, co chcesz widzieć na mojej budowie - powiedział. Jakimś cudem jeszcze nad sobą panował, ale wiedział, że jego głos był teraz chłodniejszy niż arktyczny wiatr.

Natychmiast się wycofała, zastępując pełen złości, zacięty wyraz twarzy, słodkim skrzywieniem.

- To po prostu niewłaściwe. Jakieś... dziwne.

- Dziwne - odparł groźnie. - Jeśli kobieta pracuje jak szalona, żeby zarobić na życie, to jest to dziwne, a jak robi to facet, to już nie?

- Od kiedy jesteś feministą?

Od trzech sekund, pomyślał. Jeśli nie będzie ostrożny, to wkrótce zostanie honorowym mówcą na ich spotkaniach.

- Ciężko pracuje. Wie, co robi. Reszta mnie nie obchodzi. - Miał świadomość, że żadna siła nie zmusiłaby go, by wypowiedzieć te słowa wobec Janey.

- Nie podoba mi się to, Blaze. Zupełnie mi się to nie podoba.

- To czemu ty tu nie przyjdiesz i nie popracujesz przez parę dni? - powiedział słodko. - Pomogłoby ci to zrozumieć, w jaki sposób zarabiam pieniądze, które ty tak chętnie wydajesz. Lepiej byśmy się zrozumieli.

- Co się stało z twoją wielkodusznością? Spojrzał na nią.

- To przez nią.

Melanie parsknęła z niesmakiem.

- Pewnie też pije piwo i beka, co?

Poczuł tak przemożny, a zarazem opiekuńczy gniew, że sam był zaskoczony. Mówiąc prawdę, trochę go to przeraziło.

- O ile ja mogę to ocenić, to uważam, że Janey ma klasę.

- Kobieta cieśla, która ma klasę? - zadrwiła Melanie. - Ty nie rozpoznałbyś prawdziwej klasy, nawet gdybyś się o nią potknął, Blazie Hamiltonie.

- Mówisz mi to już od paru miesięcy - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Znów się zorientowała, że przekroczyła dopuszczalną granicę, i jej gniew zmieszał się teraz z wyrazem skrzywdzonego kociaka.

- Przypuszczam, że uważasz ją za atrakcyjną? Tak, powiedział w myślach.

- A jest jakiś problem? Jesteś zazdrosna?

- O nią? - zapytała Melanie, tłumiąc śmiech. Poczł przemożną chęć zaciśnięcia dłoni na jej szyi.

- To ty spytałaś, czy uważam ją za atrakcyjną.

- A uważasz? Wzruszył ramionami.

- Nie jesteś jedyną piękną kobietą na tym świecie, Melanie. Powinnaś się raczej postarać, bym lubił cię za coś więcej.

- No więc, atrakcyjna czy nie? - nie dawała za wygraną.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Miał nieprzyjemną świadomość, że nie może jej odpowiedzieć.

Nerwowo zaczerpnęła oddechu i odwróciła się od niego. Odeszła powłóczytym krokiem, najkorzystniej eksponującym wszystkie jej walory. Ale nie wydawała mu się już tak piękna jak wtedy, gdy wysiadła z samochodu.

Wsiadła do niego z powrotem i ruszyła, dodając więcej gazu niż potrzeba, pozostawiając za sobą ciemną chmurę spalin.

Przyszło mu do głowy jedynie to, że niszczy opony, za które on zapłacił.

Wrócił na wzgórze.

- Na co się gapisz? - warknął na Jelenia, uśmiechającego się z ironią.

- Myślisz właśnie o rachunku za kwiaty, który cię jutro czeka, co, szefie?

- Tak - przyznał ze znużeniem. - Tu kwiaty, tam haki rozporowe, skończę jak nędzarz. No dobra, czy ta ściana jest już gotowa?

To raczej on był gotowy. Wyładowanie swej siły na ścianie dobrze mu zrobi. Przywróci mu kontrolę.

Była to wielka ściana. Janey wzięła jeden kraniec, Tuffy drugi, a on z Jeleniem ulokowali się w środku, gdzie należało przyłożyć najwięcej siły. Stanął koło Janey. Uklękli, gotowi do działania.

- Podnosimy - krzyknął.

Ściana drgnęła o parę centymetrów. Była niesamowicie ciężka. Cztery pary rąk unosiły ją powoli coraz wyżej. Janey dawała z siebie wszystko. Przez

krótką przerażającą chwilę pomyślała, że nie da rady. Bała się, że ściana spadnie na nich.

Kątem oka widziała ramię Blaze'a, jego wyrzeźbione i błyszczące w popołudniowym słońcu mięśnie. Uspokoila się, że ściana nie upadnie, gdyż on do tego nie dopuści.

Wyraźnie wyczuła chwilę, w której pchnął do akcji całą swą adrenalinę. Z defensywy przeszedł do ofensywy.

Jego ciało emanowało teraz siłą. Uwolnił ją z jękiem przypominającym okrzyk wojenny. Ściana została umocowana.

Otarła czoło rękawem i patrzyła na niego. Oto triumfujący mężczyzna z mięśniami nabrzmiętymi od wykonanej pracy, z twarzą zlaną potem.

Był szczęśliwy. Zadowolony. Pewny swej siły i swej męskości. To był jego świat.

Świadomość, że jej największym pragnieniem jest zniszczenie tego świata, sprawiła, że poczuła się nieswojo.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Nie wygląda na to, żeby kwiaty odniosły skutek - mruknął Clarence do Janey, kładąc swoje pudełko z kanapkami obok jej jedzenia.

Właśnie przyszli do pracy. Był piękny dzień i słońce przeganiało poranne mgły. Odwróciła się i zaczęła wkładać rękawice udając, że podziwia widok ze wzgórza. Blaze szedł szybkim krokiem pod górę. Jego twarz była pełna powagi.

Clarence miał rację. Nie wyglądało na to, by kwiaty pomogły. Blaze wyglądał jak człowiek, który spędził żaloszny wieczór.

Uśmiechnęła się do niego z sympatią.

- Śliczny dzień, prawda?

- Jeśli sądzisz, że to taki śliczny dzień, to czemu nie spakujesz swojego małego ślicznego lunchu, nie weźmiesz swojej małej ślicznej osóbkki i nie udasz się na mały śliczny piknik? I nie zapomnisz tu wrócić, co?

- Będiesz za mną tęsknił - prowokowała słodkim tonem.

- Taak. Mniej więcej tak bardzo, jak tęskni się za wyciągniętą z palca drzazgą. Do roboty. Chcę, żeby ściany zewnętrzne zostały dzisiaj skończone.

- Tak, panie Szczęśliwy.

- O Boże, taka mała i taka pyskata. - Minął ją, włożył fartuch, krzyknął jakiś rozkaz w stronę Clarence'a i wszedł na drabinę.

Po chwili widziała, jak pewnym kocim krokiem przechadza się po krawędzi ściany. Poczwała śmieszne mrowienie z tyłu szyi i zapragnęła nagle, aby znalazł się już na dole.

- Czy zdarza mu się spadać? - spytała Clarence'a z wystudiowaną obojętnością.

- Oczywiście. Ostatnio spadł z dachu. Wpadł w pył drzewny. Takiego steku przekleństw, jakimi wtedy rzucał, nigdy nie słyszałaś.

Była skłonna w to uwierzyć.

Zacząła segregować kołki, których będą potrzebowali do następnej ściany, przecinając niektóre z nich.

Nagle usłyszała zdziwiony okrzyk Blaze'a i zobaczyła, że ściana, po której stąpa, chwieje się. Rozrzucił ramiona dla złapania równowagi, ale nie było już sposobu, by powstrzymać upadek.

Z przerażeniem zobaczyła, jak ściana wali się w kierunku podłogi, cudem mijając Tuffy'ego. Blaze zeskoczył na drugą stronę. W tym momencie biegła już w jego kierunku. Zastała go leżącego na kupie śmieci.

Wolałaby, żeby zaczął przeklinać, zamiast leżeć tak z otwartymi oczyma i ustami skrzywionymi z bólu.

- Jesteś ranny?

Kucnęła przy nim, odgarnęła mu włosy z czoła i zajrzała w oczy. Nie wiedzieć czemu zdołała zwrócić uwagę na jedwabistą miękkość jego włosów oraz na przepięknie niebieski kolor oczu.

- Tak... ręka... Podłożyłem... rękę.

Odwróciła się w stronę jego rąk. Poczowała nagły ucisk w żołądku. Gruby, zardzewiały gwóźdź przebił jego dłoń, przybijając ją do małego kawałka drewna.

- Wyciągnij go, Janey - rozkazał.

Zmusiła się do zachowania spokoju i rozsądnego myślenia.

- Nie. Wiesz doskonale, że tak nie można. Musimy wziąć cię do szpitala.

- Pyskata jak zawsze - powiedział, walcząc z bólem.

- Clarence...

Odwróciła się. Nadchodził Jeleń wpatrzony w rękę Blaze'a. Jego twarz z sekundy na sekundę stawała się bledsza.

- Jeleń, stary przyjacielu, wyciągnij to, dobrze? Mała tego nie zrobi - Blaze zamknął oczy.

- Clarence!

Jeleń padł jak długi z łomotem przypominającym walenie się ściany.

Blaze otworzył oczy, spojrzął na Clarence'a i uśmiechnął się słabo.

- Nie może znieść widoku krwi. Nie powinienem go prosić o usunięcie gwoźdźcia. - Skrzywił się, potem opanował i usiadł z jękiem.

- Zajmij się Jeleniem.

Niewiele mogła dla niego zrobić poza obróceniem na plecy, tak by jego twarz nie leżała w brudzie. Nagle znalazł się koło niej Tuffy z pozbawionym jakichkolwiek emocji wyrazem twarzy i pomógł jej obrócić Clarence'a.

- Czy mógłbyś mi teraz pomóc władować go - pokazała na drugiego pacjenta - do mojego samochodu?

Tuffy przytaknął.

- Nie nadszedł jeszcze dzień, w którym będę potrzebował pomocy - powiedział Blaze. - Sam pójdę.

Niepewnie stanął na nogach, ale nie protestował, gdy Janey wsunęła się pod jedno, a Tuffy pod drugie jego ramię.

- Możemy wziąć ciężarówkę - powiedział, gdy zeszli na dół. - Nie ma powodu, aby zużywać twoją benzynę w celach służbowych.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- W takiej sytuacji myślisz o firmie? Mówiąc szczerze, uważam, że jesteś kompletnie beznadziejny.

- Nie myślałem o biznesie - odparł, a w jego głosie wyczuwało się osłabienie i ból. - Myślałem o tobie.

- O mnie? - Była zaskoczona.

- Nie musisz używać swego samochodu po to, by...

- Blaze, zamknij się i wsiadaj, zanim się wykrwawisz.

- Wcale nie krwawię - sprostował, ale wsiadł do samochodu bez dalszych protestów.

Kiedy usadowił się w środku, zaczął przeklinać.

- Boli, co? - spytała, sięgając poprzez niego, aby zapiąć mu pas.

- Nie! - Padło sześć słów, z których żadne nie było jej dotąd znane. -
Wcale nie boli.

- Tuffy, czy mógłbyś zmoczyć ścierkę i położyć ją Clarence'owi na głowie? A kiedy już dojdzie do siebie, niech postoi chwilę z głową między nogami.

Tuffy przytaknął.

- I nie pozwól, by zbyt długo jęczał i zawodził. Chcę mieć te zewnętrzne ściany i...

- Zamknij się, Blaze - rozkazała, siadając za kierownicą.

- Niegrzeczna kobieta. - Zamknął oczy. - Czy nie mogłabyś jechać nieco szybciej?

- Mówiłeś, że nie boli.

- Kłamałem. Trochę boli. - Jęknął. - I zdaje się boleć coraz bardziej z każdą mijającą sekundą.

Spojrzała na niego. Był blady i spocony.

- Nie mogę uwierzyć, że ta ściana runęła. - Stwierdzenie to zostało okraszone kolejnym strumieniem obrazowych porównań. - Ten dom jest przeklęty. Kobieta na budowie najwyraźniej przynosi nieszczęście.

- Oto naukowe wyjaśnienie tego, co się stało.

- Biologia to nauka - powiedział ponuro.

- Co to ma znaczyć?

- Zbyt wiele hormonów krążących dookoła. Clarence miał zabezpieczyć tę ścianę. Ou! Wolniej na wybojach, Janey, wiesz rannego.

- Nie mogę jechać jednocześnie wolno i szybko. I nie mogę uwierzyć, że zamierzasz oskarżyć mnie, pośrednio, o to, co się stało ze ścianą. Nie mam z tym nic wspólnego.

- Nie winiłem ciebie. Winę biologię.

- Hormonalna Teoria Upadku Ścian. A może to hipoteza, którą trzeba najpierw udowodnić?

- Janey, proszę nie rozbawiaj mnie. Ręka mi się trzęsie.
- Więc albo zaczniesz zachowywać się przyzwoicie, albo będę opowiadała sprośne dowcipy.
- Och, Janey, zaryzykuję ból, byle tylko usłyszeć sprośny dowcip wydobywający się z tych twoich pruderyjnych usteczek,
- Nie jestem pruderyjna! - odparła z oburzeniem.
- Oczywiście że jesteś. Wszyscy inni pracują bez koszul.
- Nie licz na to, Blaze.
- Nie można człowieka krytykować za to, że próbuje. Założę się, że nie znasz nawet sprośnych dowcipów.
- Owszem, znam.
- Więc opowiedz mi jakiś, zanim zacznę odgryzać dłoń od przegubu.
- W tej chwili nie mogę sobie przypomnieć.
- A widzisz.

Z ulgą ujrzała szpital.

- Jesteśmy.
- A co do czasu, to szybciej jeździłem na pikniki w szkółce niedzielnej.
- W życiu nie byłeś na pikniku ze szkółką niedzielną.

Wyskoczyła z samochodu i podeszła, by odpiąć mu pas.

Weszli do szpitala i już wkrótce lekarz oglądał jego rękę.

Zabrał go ze sobą, a Janey usiadła na brzydkiej zielonej sofie w poczekalni. Przyglądała się naturalistycznemu obrazkowi przedstawiającemu wrzód.

Trzy piętra wyżej leżał jej ojciec. Zastanawiała się, czy zdąży tam wpaść powiedzieć dzień dobry. On i Blaze pod tym samym dachem i w dodatku właśnie udzieliła Blaze'owi pomocy. Mógł go tu przywieźć Tuffy. Albo mogła jechać wolniej.

Najwyraźniej nie chciała zadawać mu bólu. Nie fizycznego. Ale innego chyba też nie. Uznała, że odwiedzanie ojca w tej chwili jest złym pomysłem.

Minuty mijaly powoli. Przegladała kolorowy magazyn sprzed jedenastu lat.

- Janey!

Rozejrzała się zaskoczona.

- Jonathan!

- Co ty tutaj robisz? - spytali jednocześnie.

- Miałem nagłe wezwanie dentystyczne.

- Mój szef został ranny.

Wstała i, chcąc nie chcąc, zauważyła, że Jonathan zawahał się, nim objął ją przelotnym gestem.

Zdała sobie sprawę, że całe jej ubranie pokryte jest drzewnym pyłem. Jonathan nie chciał być prawdopodobnie widziany w uścisku z brudnym pomocnikiem cieśli.

Przez kilka minut drętwo rozmawiali o niczym, po czym pojawił się Blaze z ręką owiniętą białym bandażem i rozbajającym uśmiechem na twarzy.

- Dałem mu silny środek znieczulający - zwrócił się lekarz do Janey. Podał jej fiolkę. - Powinien to brać. Przez kilka dni nie będzie się nadawał do pracy - dodał i oddalił się.

- Jonathanie, to mój szef, Blaze Hamilton. Blaze, to mój narzeczonny, doktor Jonathan Peters.

Blaze podał swą lewą, nie obandażowaną rękę. Zauważyła, że z powodu uścisku Blaze'a, Jonathan skrzywił się nieco. Zauważyła także, że Blaze górował nad Jonathanem. Oraz to, że był opalony na przecudny złoty kolor. Nie mówiąc już o tym, że jego ramiona były imponująco szerokie.

Rzuciła się Jonathanowi w ramiona i pocałowała go czule. Następnie odsunęła się i szorstkim ruchem odwróciła w stronę Blaze'a.

- Odwiozę cię do domu, Blaze.

- Do domu? Do diabła! Wracam do pracy.

- Lekarz powiedział...

- Aha. Mógłbym go złamać na pół jak ołówek. - Przyjrzał się uważnie Jonathanowi. Miała nadzieję że nie doda: „tego też”.

- Mimo wszystko jedziesz do domu.

- Zauważyłeś, jaka ona niegrzeczna? - spytał Blaze Jonathana.

- No... Prawdę mówiąc, nie zauważyłem.

- Cholernie trudno tego nie zauważyć.

Zobaczyła, że leciutko się chwieje, jak duże drzewo na małym wietrze.

- Co myślisz, kiedy patrzysz na jej usta? - padło kolejne pytanie,

- Słucham? - spytał Jonathan.

- No, czy myślisz wtedy o jej zębach?

- Janey ma śliczne zęby.

- Śliczne zęby - powtórzył Blaze. - Śliczne zęby, które zabierze na swój śliczny piknik.

- Jaki piknik? - spytał Jonathan.

- Jonathan, on plecie. Doktor dał mu widocznie trochę morfiny.

- Piknik ze szkółki niedzielnej - poinformował Blaze Jonathana. - Janey na kocyku, dokoła niej kaczeńce. Myślałeś o tym kiedyś?

- Chyba nie - odparł Jonathan trochę nieprzyjemnym tonem. - Naprawdę muszę wracać do gabinetu. Miło było pana poznać, panie Hamilton. Janey, do zobaczenia wieczorem.

- Cześć, Jonathanie.

Jakoś udało się jej umieścić Blaze'a w samochodzie. Pochyliła się, żeby zapiąć mu pas, a wtedy on wsunął nos w jej włosy.

- Kaczeńce - powiedział czule. - Przy tobie mężczyzna myśli o kaczeńcach.

- Blaze, przestań. - I o piknikach.

Jego usta musnęły jej policzek, podskoczyła tak gwałtownie, że uderzyła głową o framugę drzwiczek. Usiadła za kierownicą i wzięła głęboki oddech.

- Gdzie mieszkasz?

- Jedziemy do mnie czy do ciebie, złotko? - spytał zduszonym głosem.
- Do ciebie - odparła stanowczo. - I nie nazywaj mnie złotkiem.
- W porządku, kaczeńcu.
- Tak też mnie nie nazywaj.
- Janey jest kaczeńcem - zaśpiewał.
- Na miłość boską, co oni ci podali?
- Coś co położy kres bólowi. Janey jest kaczeńcem.
- Rozumiem, że działa - stwierdziła sucho.
- Jestem taki szczęśliwy.
- O, to jakaś zmiana.
- Janey jest kaczeńcem - zaśpiewał - a ja jestem starym wstrętnym

bąkiem.

- Blaze, powiedz mi, gdzie mieszkasz.

Powiedział jej.

Przez całą drogę śpiewał zmyśloną piosenkę o małych ludziach i ich samochodzikach. Od czasu do czasu wspomagał swą pieśń muzycznie, sięgając do klaksonu.

Ten samochód był zbyt mały dla tak wielkiego mężczyzny. Był za blisko. Ich ramiona ocierały się o siebie. Pachniał mieszanką wiatru, słońca i mydła.

Z powodu jego nieprecyzyjnych instrukcji i ciągłego naciskania na klakson, aż trzy razy minęli miejsce, gdzie mieszkał.

Wreszcie zatrzymała się przed luksusowym domem mieszkalnym. Nigdy w życiu nie była tak szczęśliwą, że wysiada z samochodu. Szybko podbiegła do jego drzwi i otworzyła je.

- Odepnij pas - rozkazała, nie chcąc znów się nad nim pochylać.

Przedtem, kiedy jego usta dotknęły jej skóry, odczuła to jak ukłucie.

- Nie mogę. Ręka mnie boli.
- Choćby twoja ręka teraz płonęła i tak byś nie poczuł.
- Mały doktorek, mógłbym przełamać go na pół - mruknął pod nosem.

Była całkiem pewna, że nie miał na myśli lekarza, który opatrywał jego rękę.

- To dobrze. Mając taką siłę, nie będziesz miał najmniejszych problemów z pasem.

W końcu rozgryzł zasadę działania pasów i wytoczył się z wozu. Pomogła mu na drodze do drzwi wejściowych.

- Wstąpisz, Janey, kaczeńcu?

Wiedziała, że nie powinna. Wiedziała, że spełniła już swój obowiązek. Na dziś miała dosyć bycia sam na sam z panem Blaze'em Hamiltonem. Ale, skoro znalazła się już tak blisko, nie mogła oprzeć się pokusie zajrzenia do jego mieszkania.

- Odprowadzę cię do środka - odparła sztywno. Zaczął nucić kilka taktów piosenki o Czerwonym

Kapturku i złym wilku.

Poprowadziła go przez klatkę do mieszkania na parterze.

- Zbudowałeś ten dom? - spytała.

- Żartujesz? Zobacz, co zrobili ze ścianami. W moim budynku nigdy by do tego nie doszło. Nie zbuduję domu dla siebie, dopóki...

Nie mógł poradzić sobie z kluczami, ale wreszcie otworzył drzwi i, z eleganckim ukłonem, zaprosił ją do środka.

- Dopóki co? - podchwyciła wchodząc.

Było to bardzo skromne kawalerskie mieszkanie, ozdobione jedynie dwoma nowoczesnymi płótnami na ścianie. Podejrzewała, że nie on je kupił.

Usiadł naprzeciwko niej.

- Dopóki się nie ożenię i nie będę miał dzieci. Domy to nie miejsca do mieszkania, ale miejsca spełniania marzeń. Śmiechy dzieci. Zapach pieczonych ciasteczek. Ogień na kominku.

- To o tym marzysz? - spytała, mile zaskoczona.

Przysunął się do niej. Jego oczy były na wpół przymknięte i zamglone. Schrypniętym głosem dodał:

- Nie tylko o tym. Dzieci śpią, w domu panuje cisza. Wielkie żelazne łóżko i czekająca w nim kobieta o oczach wypełnionych ciepłym blaskiem i najmiłym uśmiechu na ustach.

Z jej krtani wydobył się zduszony dźwięk. Uśmiechnął się łobuzersko, pokazując rząd nieskazitelnych białych zębów.

- To tylko marzenia, Janey. Nie ma się czego bać. Dorastanie polega między innymi na tym, że człowiek potrafi odróżnić marzenia od rzeczywistości.

Zrobiło jej się smutno, że Blaze nie wierzy w swe marzenia, że gubi je gdzieś po drodze.

- Chyba muszę iść spać, a Janey jest kaczeńcem. - Posłał jej uśmiech tak senny i zmysłowy, że poczuła ucisk w żołądku. - Położysz się ze mną?

- Chyba nie wiesz, co mówisz - odpowiedziała niedbale, by nie domyślił się, jak mocno bije teraz jej serce.

- Masz rację - przyznał, po czym zniknął w przedpokoju prowadzącym do sypialni.

Powinna teraz wyjść. Nie było już żadnego powodu, by została dłużej.

Usłyszała, jak rzuca się na łóżko. Podeszła do lodówki i otworzyła ją. Znalazła tam tylko dwie puszki coca-coli i napoczętą puszkę z sardynkami. W szafce odkryła tuńczyka, chleb i lemoniadę w proszku.

Przyrządziła napój i zrobiła kanapki z tuńczykiem, na wypadek gdyby obudził się po lekach spragniony i głodny.

Umieściła to wszystko na tacy i zaniósła do sypialni.

Gdy tylko weszła do środka, zrozumiała, że nie ma co się dłużej oszukiwać. Kanapki i lemoniada stanowiły tylko pretekst. Chciała zobaczyć sypialnię... i jego.

Leżał na brzuchu w poprzek łóżka, które, ku jej ogromnej uldze, nie było żelazne. Udało mu się zdjąć koszulę i jeden but.

Weszła do środka na palcach, lekko przestraszona, że Blaze się obudzi i pomyśli, że planowany przez niego piknik jednak się odbędzie. Postawiła tacę na stoliczku.

Dlaczego ten wielki mężczyzna, oddychający głęboko, na łóżku, budził w niej tyle niezrozumiałej czułości? Czy dlatego, że podzielił się z nią swym marzeniem o domowym cieple, a sam mieszkał w tak zupełnie innych warunkach?

Zdjęła mu drugi but i okryła śpiącego kocem. Prawie całego. Przez chwilę bowiem nie mogła się zmusić, by przykryć także jego opalone ramiona. Popatrzyła na nie. Zawahała się. Dotknęła jego skóry i, dużo dłużej, niż powinna, pozwoliła swej dłoni spocząć na ciepłej i jedwabistej powierzchni jego pleców.

Wreszcie, z dziwnym ociąganiem, nakryła go całego. Przyjrzała się jego twarzy, nie mogąc się nadziwić, że mężczyzna o tak jasnych włosach może mieć takie ciemne rzęsy.

Chciała dotknąć jego policzka. Zmusiła się jednak do wyjścia.

- Jak się czujesz? - spytała Clarence'a po powrocie.

- Dobrze. - Wyglądał na zawstydzonego.

- Nie powinieneś przejmować się tym, że zemdlaleś. Zdarza się to wielu osobom.

- Naprawdę? To znaczy, nawet takim wielkim facetom jak ja?

- Oczywiście. Wzrost nie ma z tym nic wspólnego. Jestem krwiodawcą i widziałam mnóstwo ogromnych facetów, którzy padali jak muchy.

- Naprawdę? - dopytywał się z nadzieją.

- Naprawdę - zapewniła go.

- Jak Blaze?

- Nieźle nafaszerowany prochami uśmierzającymi. Przez kilka dni nie powinien pracować.

- Nic go nie powstrzyma.

- Tak sobie pomyślałam. Lekarz chyba też. To pewnie dlatego dał mu tyle leków, że zwałyby hipopotama. W ten sposób zatrzyma go w domu przynajmniej dzisiaj. Przy okazji, czy już wiadomo, co się stało ze ścianą?

- Nie podoba mi się to. Ktoś się nią bawił.

- Co?

Clarence poprowadził ją w kierunku ściany.

- To mi wygląda na ślady po obcęgach.

- Ślady po obcęgach?

- W miejscu, gdzie były obręcze. Myślę, że ktoś wyjął obręcze, ale zostawił je tak, by wyglądało, że są umocowane. Pod ciężarem Blaze'a wszystko się rozleciało.

- Ale dlaczego ktoś miałby to zrobić?

Kolejny zagadkowy wypadek do jej listy tajemniczych wydarzeń. Przynajmniej ten ostatni uwalniał Blaze'a od podejrzania o uczestnictwo. Nie wchodziłby na ścianę wiedząc, że nie jest zamocowana.

Ponadto, jak dotąd, wypadki były raczej drobne. Nie mógłby na razie występować o ubezpieczenie.

Z drugiej strony, był oczywiście sprytnym mężczyzną. Nie ukrywała, że jest pod wrażeniem jego inteligencji. Jedno spojrzenie na plany i już wie, co się uda, a co nie. Matematyka nie sprawiała mu trudności.

Gdyby taki mężczyzna sabotował swój dom, wiedziałby, jak to zrobić, by odwrócić od siebie podejrzania.

A jednak, im lepiej poznawała Blaze'a Hamiltona tym mniej prawdopodobne wydawało się jej, że mógłby coś takiego zrobić. Jednocześnie jednak jej uczucia wobec niego stawały się coraz bardziej pogmatwane. Musi myśleć jasno, musi pamiętać, po co się tu zjawiała.

Na razie będzie musiała się zadowolić układaniem kawałków łamigłówek. Powinna też pamiętać, że jakikolwiek by Blaze nie był, nadal pozostawał mężczyzną odpowiedzialnym za chorobę i pobyt w szpitalu jej ojca.

Westchnęła.

- Tuffy, jak myślisz, co się stało z tą ścianą?

Zatrzymał się i popatrzył na nią. Niemal odskoczyła na widok wrogości, jaką dostrzegła w jego oczach. Niemal. Ponieważ najpierw dostrzegła w jego wzroku coś jeszcze: lęk. Coś w rodzaju strachu zwierzęcia przez znalezieniem się w potrzasku.

Wzruszył ramionami i odwrócił się od niej.

Czyżby Tuffy wiedział o ścianie coś, czego reszta nie wiedziała?

Westchnęła.

- Sprawdźmy, czy możemy ją znowu ustawić.

Clarence i Tuffy postawili w międzyczasie kilka innych ścian, ale ta jedna wciąż leżała.

- Przedtem potrzeba było do tego czworga - nieśmiało zaproponował Clarence.

- Możemy to zrobić - powiedziała z przekonaniem.

Tuffy i Clarence popatrzyli na nią z rozbawieniem.

- Wiem - odparła słodko. - Jestem bezczelna. I pyskata. I rządę się. Ale myślę, że możemy to zrobić.

Jednak była szczerą wobec samej siebie. Nie dlatego chciała postawić tę ścianę, że miała dyktatorskie zapędy. Było tak dlatego, że jakaś część jej osoby, wywrotowa część jej osoby była nieposłuszna wobec pozostałych i przepełniona tą szaloną potrzebą uszczęśliwienia Blaze'a.

- Wyłącz to okropieństwo - powiedział Jonathan.

Janey sięgnęła po pilota magnetowidu i wyłączyła film, który przyniósł.

- Chcesz jeszcze herbaty? Lub kukurydzy?

- Mam jej mnóstwo. - Pociągnął łyk. Wiedziała, że coś go gryzie. Zwykle siedział godzinami oglądając filmy. Czekala.

- Nie mówiłaś mi, że twój szef tak wygląda - powiedział niedbale.

- Jak? - spytała z wahaniem.

- Daj spokój, Janey. Gdyby włożyć mu pod ramię deskę surfingową, byłby żywą reklamą Kalifornii. Wiesz, o czym mówię: słoneczne pasemka, mięśnie. Nawet jego zęby są absolutnie idealne.

- Och. Nigdy nie wspomniałam, że jest całkiem przystojny?

- Doskonale wiesz, że tego nie zrobiłaś. Miałem wrażenie, że jest stary i obwisły. Sądziłem, że pali cygara i wydziera się.

- To ostatnie się zgadza - odparła, siląc się na dowcip.

- Nie rozumiem, dlaczego to przede mną ukryłaś. Czas na walkę, pomyślała znużona.

- Nie sądziłam, że wygląd mojego szefa mógłby cię zainteresować. Nic, co dotyczy mojej pracy, cię nie interesuje.

- Interesuje mnie dzień, kiedy ją opuścisz - mruknął. - Zwłaszcza teraz.

- Dlaczego „zwłaszcza teraz”? - Nie wiedzieć czemu miała dziwną ochotę wzięcia Blaze'a w obronę. - Co ci się tak dokładnie w nim nie podoba?

- Po prostu nie lubię tych superfacetów. - Poczuleś się zagrożony? - spytała, choć, gdyby tak było, nie winiłaby go.

- Zagrożony? - zapiszczał Jonathan. - Chyba żartujesz. Znam ten typ. Ma pewnie lodówkę pełną piwa i organizuje z przyjaciółmi konkursy bekania.

Miała przedziwną chęć zasztyletowania Jonathana.

- Aha. A więc mężczyźni, którzy pracują fizycznie są niegrzeczni i wulgarni, tak?

Postanowiła nie ujawniać faktu, że zna zawartość lodówki Blaze'a.

- Tak sądzę.

- Mój ojciec był budowniczym - przypomniała mu.

Początkowo myślała, że może tego wieczoru powie mu, jaki związek z ojcem miało jej zatrudnienie się u Blaze'a, ale teraz zmieniła zdanie.

- Janey, przepraszam. Nie bądź taka przewrażliwiona. Może rzeczywiście poczułem się trochę zagrożony. Nie uważasz go za atrakcyjnego, prawda?

Chciała powiedzieć: tak. Ale odparła tylko:

- Jonathan, jest wielu atrakcyjnych mężczyzn dokoła. Musisz chyba ufać mi nieco bardziej. Nie jestem typem osoby, która rzuca się na wszystkich atrakcyjnych mężczyzn, których widzi.

Pamiętała, jak dotykała nagie ramię śpiącego Blaze'a. Zastanawiała się z zakłopotaniem, czy aby na pewno zasługuje na zaufanie, o które prosi Jonathana.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- O ile dobrze pamiętam to doktor kazał ci wziąć parę dni wolnego - powiedziała cicho Janey, stojąc za Blaze'em.

W wyblakłych dżinsach i czarnym podkoszulku wyglądał wyjątkowo męsko. Prawą rękę miał wciąż zabandażowaną.

Zachnął się.

- Lekarze biorą chyba urlop z powodu zadry pod paznokciem.

Zauważyła, że ma mokre włosy, z czego wywnioskowała, że musiał niedawno brać prysznic. Uważnie spojrzała na jego rękę.

- Udało ci się z powrotem zabandażować rękę po kąpieli? - Nie myślała, że jest taki staranny.

Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że mógł nie spędzać nocy w samotności.

- Nie rozbandażowywałem jej. Owinąłem ją w plastikową torebkę.

A więc nic nie wskazywało na fakt, że nie był w nocy sam. A zresztą, co ją to obchodzi?

- Znalazłeś środki przeciwbólowe. Położyłam je na...

- Znalazłem - odparł uprzejmie.

- Wzięłeś je?

- Posłuchaj, prawdziwi mężczyźni nie biorą lekarstw. Położyła ręce na biodrach.

- Nie musisz robić uników, tak jak gdyby pytanie dotyczyło palenia trawki.. Spytałam tylko, czy posłuchałeś zaleceń lekarza.

- Nie, nie posłuchałem.

- A dlaczego? Nie mogła uwierzyć, że to ten sam mężczyzna, który pieścił jej włosy, i który śpiewał z czułością „Janey jest kaczeńcem”.

- Nie jestem dobry w wykonywaniu rozkazów. Raczej jej wydaję powiedział bez cienia skruchy.

Nagle znalazł coś szczególnie interesującego w pudełku z narzędziami. Zaczął w nim grzebać z takim zapalem, że o mało nie poniszczył znajdujących się tam przedmiotów.

- W takiej pracy jak ta trzeba zachować przytomność umysłu - ciągnął. - Nie można dopuścić do jakiegoś głupstwa.

- Och - odparła pełnym zrozumienia tonem. Odwrócił się i popatrzył na nią.

- A czy mnie się to zdarzyło?

- Blaze, lekarz dał ci silny środek znieczulający...

- Odpowiedz na moje pytanie. Czyż nie zachowywałem się głupio? Czyż nie mówiłem rzeczy, których tak naprawdę nie myślałem? Czy...? - Jego wzrok powędrował niechcący na jej usta, po czym nagle znów zatopił się w pudełku z narzędziami.

- Nie, nic takiego nie robiłeś - odparła szybko, odnosząc się tylko do tego ostatniego pytania.

- Świetnie - mruknął. - Czy nie widziałaś mojej poziomicy? Chcę sprawdzić tę ścianę. Zdaje się, że całkiem niezłe wyszła.

Janey sięgnęła do pudełka i z panującego tam bałaganu wyciągnęła poziomicę.

- Clarence uważa, że obręcze zostały rozluźnione.

- Też bym tak sądził, gdybym to ja miał je zabezpieczyć, a potem okazało się, że puściły.

- Nie wydaje mi się, żeby starał się zrzucić z siebie winę - powiedziała zapalczywie. - To nie w jego stylu.

Wiedziała jednak, że jej zapalczywość ma mniej związku z Clarence'em, a więcej z uprzejmą obojętnością, z jaką ją dzisiaj traktował. Nie wiedzieć czemu przypuszczała, że osiągnęli wczoraj jakiś rodzaj porozumienia.

Jednak, uwzględnwszy przyczynę, dla której się tu znajdowała, była to płonna nadzieja. Właściwie nawet całkiem niebezpieczny pomysł.

- Co jest z tobą? - spytał. - Czy ty musisz uszczęśliwiać cały świat? Musisz być zawsze tak cholernie miła? Lemoniada i kanapki, też mi coś!

- Wystarczyłoby proste dziękuję - odparła dotknięta do żywego. Ale przynajmniej niebezpieczny pomysł polubienia go umarł śmiercią naturalną.

- Jeśli chcesz słyszeć dziękuję, siostrze miłosierdzia, to idź pracować do szpitala. Tutaj nie bawimy się w takie ceregiele. Nie ma tu miejsca dla wrażliwych mimoz.

- Znowu zaczynasz?

- Jeśli chcesz wiedzieć, to nigdy nie przestałem.

- Szkoda, że nie lubisz lekarstw. Bardzo poprawiły twój charakter.

Przebywanie w twoim towarzystwie było prawie miłe.

Drań, powiedział sam do siebie, gdy odeszła. Ręka piekła go z bólu. Powinien był wziąć te tabletki, ale prześladowały go mgliste wspomnienia swojego wczorajszego zachowania. Poczul się jak idiota. Janey jest kaczeńcem. Nie miał ochoty, by znów puściły mu hamulce.

Łobuz, powtórzył sam do siebie. Powinienem podziękować jej za kanapki.

Kiedy obudził się i znalazł jedzenie oraz picie, poczuł taką ogromną wdzięczność, że omal nie krzyknął. Już od dawna nikt się o niego nie troszczył. Od dawna też nikomu na to nie pozwalał. Bał się... uzależnienia.

Nie lubił tego uczucia. I oczywiście nie mógł dać po sobie poznać, że dokładnie tak się czuje. Na miłość boską, przecież ona nawet go nie lubiła. Miała poślubić tego małego głupiego dentystę, którego mógłby przełamać na pół jak wykałaczkę.

Ale on pewnie wiedział, jak mówić „dziękuję”. Albo „przepraszam”.

Nie, żeby go to obchodziło. Może sam się ożeni. Melanie wyraźnie do tego parła. A gdyby w dodatku pobrali się w grudniu, miałby urlop podatkowy.

Melanie nie chciała mieć dzieci. I nie umiała piec ciasteczek. Ale przecież był na tyle dorosły, że umiał odróżnić marzenia od rzeczywistości. Marzenia trzyma się głęboko ukryte i wyciąga się je tylko na swój własny użytek. Najgłupsze, co może człowiek zrobić, to uwierzyć w niepoważne mrzonki.

To jej obecność wywoływała w nim te dziwne uczucia niezadowolenia. Tę dziwną tęsknotę... za czym?

Ujrzał, jak z szerokim uśmiechem wita się z Jeleniem i podaje mu małą brązową torbę.

Jeleń zajrzał do środka i jego twarz rozjaśniła się uśmiechem. Wyjął czekoladowe ciasteczko domowej roboty i włożył je do ust w całości. Zamknął oczy i gryzł z rozkoszą.

Gdybym nie był takim gburem, sam mógłbym teraz jeść ciasteczko czekoladowe, pomyślał.

- Mała, jeśli chcesz otworzyć cukiernię, co jest wybitnie kobiecym zajęciem, zrób to. Ale jeśli chcesz pracować dla mnie, to w ciągu trzech sekund chcę usłyszeć stukanie młotka. Potrzebuję te wewnętrzne ściany na wczoraj.

Podszedł do ściany, która się zawaliła poprzedniego dnia i popatrzył na nią z zewnątrz.

- Jeleń, czy to są te same obręcze, których używaliśmy wczoraj?

- Tak.

Blaze zmarszczył się i przesunął ręką po nacięciach w drewnie. Czyżby ktoś sabotował jego pracę? Wydawało się to mało prawdopodobne. Dlaczego? Może to grasujące w nocy dzieciaki? Czy zdawali sobie sprawę z tego, co robią? Że mogli kogoś zabić?

Poczuł w ręce koszmarny ból, jakby przechadzał się po niej słoń.

Janey panowała nad sytuacją. Miała rację. Powinna otrzymywać dwanaście dolarów za godzinę, a jeśli by przynosiła do tego ciasteczka, to nawet więcej. Clarence pracował jak nawiedzony.

Ze stłumionym bolesnym jękiem Blaze wskoczył do swej ciężarówki i odjechał.

- Tak, panie Hamilton, dotacja została panu przyznana. Zaraz znajdę dokumenty.

Rozejrzał się po biurze zatrudnienia. To było idealne miejsce pracy dla kobiet. Ciepłe. Suche. Bezpieczne. Cywilizowane. Najcięższą rzeczą, jaką się tu dźwiga, jest zapewne zszywacz.

Janey by tego nie zniosła, pomyślał. Bo ja też tego nie znoszę.

- Są chyba jakieś problemy, proszę pana.

Starał się panować nad sobą. Dlaczego zawsze, kiedy ma się do czynienia z rządem, muszą być jakieś problemy?

- Nasz komputer nie przyjmuje nazwiska panny Smith...

Pani, pomyślał. Przecież wkrótce będzie panią jakąś tam, dodał kwaśno.

- Ani jej numeru ewidencyjnego. Może któraś z cyfr się nie zgadza. Czy mógłby pan to sprawdzić i wrócić do nas?

- Tak, oczywiście.

Dostanie pewnie tę dotację, gdy Janey będzie już tylko mglistym wspomnieniem. Schował dokumenty i po raz pierwszy w swej karierze nie miał ochoty wracać do pracy.

Znów chwycił go ból ręki. Mógłby pójść do domu, zażyć te tabletki i przebrać popołudnie.

Ale przecież to ona była bohaterką jego wczorajszych, wywołanych przez leki, rojeń. Może jednak powinien wrócić do pracy i popracować nad jej odejściem. Przynajmniej miałby rozrywkę. Skoro nie może wymazać jej z pamięci, spróbuje odwrócić uwagę od dręczącego go bólu.

- Blaze, szefie, muszę z tobą porozmawiać. Była już pora lunchu. Jeleń, pachnący ciasteczkami czekoladowymi, złapał szefa za ramię.

- Zrobiłem coś naprawdę głupiego - powiedział. Blaze spojrział z przerażeniem na swą piłę. Wydawała się w porządku i w dodatku miała cały sznur.

- Nie denerwuj się. To nie jest chyba nic takiego strasznego. Pamiętasz, jak Janey opowiadała o swojej przyjaciółce.

- Pamiętam.

- No więc dała mi jej numer. Po trzech dniach zdobyłem się na odwagę, zadzwoniłem i umówiłem się na dzisiaj.

- Wspaniale. A przy okazji wykonałeś kawał dobrej roboty przy tych ścianach. Poza tym...

- Blaze, co ja teraz zrobię?

- Jak to?

- Nigdy nie byłem na randce. - Jego wzrok był pełen paniki.

- Nigdy? - zdumiał się Blaze.

- Spójrz na mnie, Blaze. Jaka dziewczyna pójdzie na randkę z gorylem?

Popatrzył na mężczyznę, który pracował dla niego siedem lat. Nie dostrzegł w nim goryla. Ani nawet jelenia.

- Co byś chciał wiedzieć, Clarence? Clarence usiadł bezradnie na stercie drewna.

- Wszystko. Co robić. Co włożyć na siebie. I co powiedzieć. Czy mogę ją pocałować? Czy mogę ją objąć? Zresztą nie mam żadnych ciuchów. Tylko

ubranie robocze. - Nagle wstał. - Ja po prostu muszę to odwołać, tak będzie najlepiej, prawda, Blaze?

Prawdopodobnie jeszcze tydzień temu powiedziałby „prawda” i odszedł do pracy. Ale nagle poczuł się tak, jakby z jego oczu zostały zdjęte wszystkie klapki. W spojrzeniu Clarence'a dostrzegł rozpaczliwą samotność. A także lęk, że nie jest wystarczająco dobry, że nie jest taki jak inni, że nigdy nie będzie miał tego, co mają inni, dlatego że nie pasuje do wyobrażeń o atrakcyjności.

Nagle zrozumiał, dlaczego pracowali razem już od siedmiu lat. Ponieważ się lubili. W ciągu tych lat, nawet tego nie zauważając, zostali przyjaciółmi. Troszczył się o Clarence'a.

Zaskoczyło go to odkrycie.

- Dziś wieczór, tak? Nie mamy zbyt wiele czasu. Chodź. Kupimy ci nowe dżinsy i ładną koszulę. Czy byłeś kiedykolwiek u fryzjera?

Clarence nie wierzył własnym uszom.

- Teraz? Mając tyle pracy?

- Posłuchaj, nie mów nikomu, że ja tak powiedziałem, ale bywają rzeczy ważniejsze od pracy. Poza tym Janey będzie czuwała nad wszystkim.

- Oczywiście. Ona mnóstwo wie, prawda?

- Nieźle jak na nowicjuszkę - mruknął Blaze.

- Naprawdę sądzisz, że powinienem iść do fryzjera? Zwykle sam się strzygę.

Tydzień temu odparłby „to widać”. Ale dziś powiedział:

- Myślę, że na tę specjalną okazję mógłbyś wyłożyć te dziesięć dolców.

- Mam nadzieję, że ta jej przyjaciółka robi ciasteczka - powiedział szczęśliwy Clarence.

Blaze milczał.

Wrócił do pracy dopiero przed szóstą. Pomyślał, że przed zachodem słońca pomacha jeszcze ze dwie godziny młotkiem. Spróbuje pracować lewą ręką.

W podnieceniu i nadziei Clarence'a było coś, co dało mu uczucie pustki. Pragnął ją wypełnić.

Stanął na drodze i popatrzył na bryłę domu. Nieźle, pomyślał. Nieco spóźniona, ale nic na to nie mógł poradzić.

Nagle usłyszał odgłos młotka i poszukał jego źródła. Nadal była w pracy.

Powoli wszedł na wzgórze i dostał się do domu po platformie, która za tydzień zostanie zastąpiona schodami. Rozejrzał się dokoła zadowolony z postępu robót. Zdał sobie sprawę, że nigdy przedtem nie zatrudnił nikogo z inicjatywą. Chyba dlatego, że nigdy nie chciał oddawać nikomu kontroli. Praca pozwalała mu wypełniać liczne luki w życiu. Im więcej pracował, tym lepiej się czuł.

Nie był pewien, czy powinien się cieszyć z tego odkrycia na swój temat.

- Mała - zawołał, bojąc się ją przestraszyć.

Stanął za nią. Spojrzała na niego przez ramię, po czym wróciła do pracy. Zachodzące słońce oświetliło jej sylwetkę cudownie złotym blaskiem.

- Dzień pracy już dawno się skończył - powiedział łagodnie.

Janey nie chciała na niego spojrzeć i zdawała sobie z tego sprawę.

Wpadające słońce ukazywało jego fantastycznie opaloną twarz w niezwykle kuszącym świetle.

- Straciłam poczucie czasu. Lubię ten etap budowy.

- Ja też. Nareszcie widać, że coś się zaczyna dziać.

- Gdzie poszedł Clarence po południu?

- Ach, miał pewne prywatne sprawy do załatwienia. - Ostatnią rzeczą, którą gotów był przed nią przyznać, po tym nieprzyjemnym porannym zachowaniu, był fakt spędzenia całego popołudnia na holowaniu przerażonego Clarence'a w stronę pierwszej randki z przedstawicielką płci przeciwnej.

- Blaze, zrobiłam dziś po południu okropny błąd. - Wsunęła młotek do fartucha, wzięła głęboki oddech i odwróciła się w jego stronę. Serce podchodziło jej do gardła.

Spojrzał na piłę.

- Czy nareszcie mogę cię zwolnić? - spytał z nadzieją.

- Nie sądzę, żebyś chciał mnie zwolnić. Już i tak masz jednego pracownika mniej. - Zaczerpnęła ponownie oddech i ciągnęła dalej. - Kiedy wczoraj zawałała się ściana, próbowałam zadać Tuffy'emu parę pytań na ten temat. Nic nie odpowiedział.

- Nigdy nic nie mówi. Taki już jest.

- Pomyślałam, że może coś ukrywa.

- Tuffy? Nie. Jest cichy. Może nawet trudny. Ale nigdy nikogo nie skrzywdzi i jest nadzwyczaj uczciwy. Raz pomyliłem się przy jego czeku i dałem mu parę dolców więcej. Zwrócił je następnego dnia.

Pomyślała, że Blaze, zwykle tak niewrażliwy, nagle okazuje tyle wyrozumiałości dla Tuffy'ego. Może miał rację. Może kobieta nie miała racji bytu w jego świecie. Używała innego języka niż ci faceci. Przecież Tuffy i Blaze porozumiewali się bez słów.

- Dziś znowu wróciłam do tej rozmowy. Kiedy jak zwykle milczał, zrobiłam się nieco uparta...

- Ty, uparta? - przerwał ze zdziwionym spojrzeniem.

- I przycisnęłam go...

- Fizycznie?

- Oczywiście że nie.

- No tak. Z twoim niewyparzonym językiem nie potrzebujesz używać siły.

- Blaze, on odszedł!

- Znęcałaś się nad nim, aż rzucił pracę?

- Dokładnie tak - powiedziała ze smutkiem. Blaze zaczął się śmiać.

- Muszę przyznać, że solidaryzuję się z nim. Sądziłem, że to jedyny normalny człowiek na tej budowie. - O mały włos nie dodał: „i jedyny odporny na twój wpływ”, ale powstrzymał się.

- Nie jesteś zły?

- Nie.

- Dlaczego?

- A chciałabyś, żebym był?

- Wolałabym, żebyś był zły zamiast stać tak, patrząc na mnie, jakbyś był rozbawiony.

- Kiedy przyznajesz się do błędu jesteś całkiem fajna.

- To już lepiej - powiedziała sucho. - Czy naprawdę w ogóle nie przejmujesz się faktem, że straciłeś pracownika?

- Sądzę, że wróci. Taka praca rodzi wiele emocji, Janey. Nie martwię się.

- A jeśli nie wróci?

- Jeśli nie pojawi się jutro, wpadnę do niego.

I powiesz mu, żeby nie pozwalał kobiecie wchodzić sobie na głowę, pomyślała.

- A teraz, skoro wyznałaś już swoje grzechy, czemu nie pójdziesz do domu?

- Dzięki, ojczy Hamiltonie - odparła sucho. - Ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, zostanę nieco dłużej. Ja też chciałabym dzisiaj skończyć te wewnętrzne ściany.

- Nie płacę za nadgodziny. Wzruszyła ramionami.

- To nic.

To było jak strzał. Pracownik, o jakim marzył, okazał się kobietą!

- A ty nie musisz okupywać swoich grzechów.

- Lubię to.

- Lubisz to? - spytał łagodnie.

- Lubię pracować. Lubię być na zewnątrz o tej porze.

- Ja też.

Ramię w ramię, w swobodnym milczeniu, dokończyli wewnętrzne ściany. Gdy wbijali ostatni gwóźdź, było już ciemno.

- Chodź, pójdziemy na hamburgera.

- Razem? - spytała.
- Jasne. W dodatku ci postawię.
- Dobra, skończona robota działa na twój charakter jak podwójna dawka środka przeciwbólowego - stwierdziła.
- Tak - potwierdził.
- Pamiętaj o tym.
- Jak twoja ręka?
- Przeżyję.
- Boli?
- Tak, boli. Ale nie na tyle, żebym nie zjadł podwójnego hamburgera. I frytek. Wskakuj do ciężarówki.
- Dlaczego mężczyźni nie przyznają się do bólu?
- Oraz podwójny koktajl.
- Nie odpowiedziałeś mi.
- Bo kobiety interesują się mężczyznami, którzy zwijają się na podłodze i krzyczą z bólu.
- To niemądre.
- To prawda.
- Mężczyźni kierują się w swym postępowaniu tym, czego oczekują kobiety?
- Posłuchaj mała, przekreślasz moje słowa. Komplikujesz wszystko. Mężczyźni działają jak mężczyźni. Nie wiem czemu. Nie zamierzam psuć sobie przyjemności jedzenia hamburgera czczymi rozważaniami.
- Nigdy przedtem nie była w tej knajpie. Był to stary, klasyczny bar szybkiej obsługi, gdzie podawano najlepsze hamburgery, jakie kiedykolwiek jadła.
- Niezbyt zdrowe dla serca, co? - spytała.
- Jeśli masz teraz zamiar się o to martwić, wracaj do ciężarówki.
- Nie martwiłam się. Po prostu...

- Posłuchaj, na ostatniej kontroli lekarz powiedział mi, że jestem w lepszym stanie niż dwaj profesjonalni atleci, którzy także są jego pacjentami i że mógłbym poradzić sobie z każdym o dziesięć lat młodszym mężczyzną. Nasze ciała są stworzone do pracy. Pragną jej. Wszyscy latają na aerobik, a ja mam swój trening w pracy i nie muszę nikomu płacić tysiąca dolarów rocznie za przywilej utrzymania formy. I jem hamburgery zawsze, kiedy mam na to ochotę.

- Nie ma potrzeby traktowania zwykłego komentarza jak wypowiedzenia wojny.

Uśmiechnął się.

- Masz rację. Nie ma. Przejdźmy na bezpieczny grunt. Opowiedz mi o sobie. Skąd tyle wiesz na temat budowania domów?

Dla niego może ten grunt był bezpieczny, ale ona poczuła się jak na polu minowym.

- Mój ojciec był budowniczym.

- Naprawdę? Stąd? Powiniennem go znać.

- Nie stąd - skłamała. - Ze Wschodniego Wybrzeża. W każdym razie mam trzech braci i przy nich stałam się chłopczycą. W czasie wakacji moi bracia zawsze pracowali dla ojca, więc ja też to robiłam. Z początku ojciec nie bardzo to lubił.

- Tak jak ja - zauważył Blaze.

- Ale mnie się podobało. Zarabiałam w ten sposób więcej, niż wykonując dziewczęce prace, takie jak opieka nad dziećmi lub kelnerstwo. A poza tym pokochałam tę pracę. Lubię być na powietrzu. Lubię to wszystko, o czym właśnie mówiłeś. Czuć silne i zdrowe ciało, wyćwiczone w ciężkiej pracy.

- Gdzie mieszkaliście na wschodzie?

Hamburger przestawał jej smakować. Tak to już jest z kłamstwem, prowadzi tylko do jeszcze większego kłamstwa.

- Toronto - rzuciła szybko, choć znała je jedynie z pocztówki przysłanej przez przyjaciółkę.

- Naprawdę? W jakiej dzielnicy?

Ugryzła porządny kawałek hamburgera, by żując go spokojnie pomyśleć.

- Wildwood - odparła.

Nie miała pojęcia, czy taka dzielnica znajduje się w Toronto, ale miała nadzieję, że on też nie jest zorientowany. Zaczynało robić się jej niedobrze. Była zawsze taka dumna ze swej uczciwości.

- A jak było z tobą, Blaze? Jakie były początki twojej kariery w tym biznesie?

- Chciałem zarabiać pieniądze - odparł po prostu.

Zadrzała.

Pieniądze. Czy, mimo pozorów, jakie stwarzał, należał do ludzi, którzy dla pieniędzy byliby w stanie zrobić wszystko? Czy miała podstawy do takich podejrzeń? Czy nie jest wobec niego uprzedzona?

- Ja też nie wytrzymuję w zamkniętych pomieszczeniach. Czuję się w nich jak tygrys w klatce. Czy możesz sobie wyobrazić mnie za biurkiem?

- Nie - przyznała - nie mogę. Westchnął.

- Melanie może. Uważa, że powinienem zajmować się po prostu sprawami administracyjnymi i zlecać całą robotę. W ten sposób mógłbym stawiać więcej domów.

- A więc, jak sądzę, chodzi ci o coś więcej, niż tylko zarabianie pieniędzy - dodała z satysfakcją, której tak naprawdę nie rozumiała.

Posłał jej łobuzerski uśmiezek.

- Nie mów o tym nikomu, ale tak, chyba coś w tym jest. Mam w sobie mnóstwo energii. Nigdy nie mogłem usiedzieć na miejscu. Świadomość, że to, za co nauczyciele zawsze mnie ganili, teraz jest źródłem mojego utrzymania, daje mi prawdziwą satysfakcję.

Roześmiała się.

- I to utrzymania na lepszym poziomie niż większość z nich.

- Tak, zarabiam nieźle. Sukces finansowy nie jest tym, co interesuje mnie najbardziej. Prowadzi to do... - Nagle spojrzął na zegar. - O, do diabła. Zupełnie zapomniałem, że miałem dziś zjeść kolację z Melanie.

Hamburger wypadł jej z ręki.

- Och, nie!

- Ty też coś przegapiłaś? - spytał.

- Miałam się spotkać z Jonathanem u „Timbera” - zerknęła na zegar - osiem minut temu.

- Zawiozę cię tam w ciągu pięciu.

- Nie mogę iść tak ubrana.

- U „Timbera”. No tak. Powinnaś mieć na sobie coś innego - powiedział.

Jego błękitne oczy pokryły się mgłą. - Ja miałem zamiar przywieźć Melanie tutaj. Nienawidzi tego miejsca.

- Dlaczego zapraszasz ją do miejsca, którego nienawidzi?

- Staram się, by polubiła mnie takiego, jakim jestem.

- A czy nie powinienesz zrewanżować się jej tym samym? - Dlaczego bronila Melanie? To, co dotąd słyszała o dziewczynie Blaze'a, nie bardzo jej się podobało.

Postanowiła nie czekać na jego odpowiedź. Nie miała ochoty wiedzieć niczego na temat ich związku.

- Przepraszam cię, muszę skorzystać z telefonu.

Zadzwoiła do Jonathana. Był oczywiście wściekły. zaproponowała, że spotka się z nim później i pójda na drinka. Odmówił.

- Zawsze możesz wysłać mu kwiaty - zaproponował Blaze, kiedy znaleźli się znów w ciężarówce, jadąc na budowę po jej samochód.

Spojrzała na niego. Wydawał się bardzo zadowolony z wściekłości Jonathana i mało przejęty faktem, że sam zapomniał o randce.

- Co powiedziała Melanie?

- Że jestem egoistycznym, skoncentrowanym na sobie draniem i że ma nadzieję, iż udławię się hamburgerem. Powtórzyła to na dziewiętnaście różnych sposobów w sześciu językach.

Janey wybuchła śmiechem.

- Przejmujesz się?

- W większości to prawda. Nie jestem wystarczająco subtelny ani rozważny.

- Nie sędzę, aby to była prawda - odparła. Sama sobie nakazała zamknąć usta. To musi być

prawda. To dlatego była tutaj. Jednak jej głos nie posłuchał jej rozkazów.

- Może po prostu nie spotkałeś jeszcze osoby, dla której pragnąłbyś stać się bardziej rozważnym. Miłość to nie jest ciężki obowiązek, nad którym trzeba ciągle pracować. Uważam, że to przyjemność, na którą trzeba się po prostu otworzyć.

- To właśnie czujesz do Jonathana? spytał ponuro.

Zaskoczył ją tym pytaniem. Jeszcze bardziej zaskoczyła ją definicja miłości, która spontanicznie wyrwała się z jej ust.

- Tak - wyrzuciła z siebie w końcu, gdy milczenie stawało się już nie do zniesienia.

Wiedziała jednak, że jest to kolejne z długiej serii kłamstw wypowiedzianych tego wieczora. Ale kiedy zaczęła oszukiwać samą siebie?

- Aha, zanim zapomnę - wyciągnął z kieszeni jakiś bardzo zgnieciony dokument - czy to jest twój numer ewidencyjny?

W ciemności spojrzała na dokument.

- Tak.

- Co za idioci w tym biurze. Twierdzą, że komputer tego nie przyjmuje.

Ale nie z powodu jej numeru ewidencyjnego, pomyślała zmartwiona, lecz z powodu jeszcze innego kłamstwa. Nie nazywała się Smith.

Tego wieczora wstąpiła odwiedzić ojca. Czuł się gorzej, trzymając się życia resztkami sił.

Wróciła do domu i zasnęła, oglądając jakieś śmieszne romansidło z lat trzydziestych. Obudziła się ze łzami na policzkach. Śnił się jej ten wieczór sprzed ośmiu lat.

Znów miała szesnaście lat. Jedli kolację. Kolacja była zawsze taka wesoła. Ojciec i bracia przekomarzali się z nią i z matką, aż musiały ich prosić o chwilę przerwy.

Zadzwonił dzwonek do drzwi.

- Otworzę - krzyknęła Janey i pobiegła do holu.

W otwartych drzwiach ujrzała jego.

Stał tam wielki jak góra. Jasnowłosa mężczyzna, najwspanialszy, jakiego kiedykolwiek widziała. Jej nastoletnie serce zadrzało. Uśmiechnęła się do niego, a nawet nieśmiało spróbowała kokieterii, skromnie spuszczając wzrok.

On jednak zdawał się jej nie zauważać. W jego oczach był smutek, a usta były sztywno zaciśnięte.

- Muszę porozmawiać z Samem Sandstone'em. Teraz.

Była zaskoczona. Nikt nie ośmielał się wydawać rozkazów w domu Sama Sandstone'a.

Wpuściła go, zawołała ojca i stanęła z tyłu, przyglądając się scenie powitania.

- Blaze! Co za niespodzianka! Coś złego na budowie?

- Tak, proszę pana. Coś złego na budowie.

Jak wyglądały wówczas oczy Blaze'a? Czy była w nich zabójcza pogarda? Dla ojca, którego uwielbiała? Właśnie wtedy zaczęła nienawidzić Blaze'a Hamiltona.

Zobaczyła, jak jej ojciec, który nigdy przed niczym się nie cofnął, pokornieje.

- Chodźmy do mojego pokoju, synku. Porozmawiamy o tym.

Niewiele mogła usłyszeć, ale po chwili dotarły do niej podniesione głosy. Lub raczej głos jej ojca. Krzyczał jak zraniony byk. Pamiętała wrażenie, jakie zrobił na niej głos drugiego mężczyzny - zimny, uporczywy, senny.

W parę minut później Blaze Hamilton wyszedł z tym samym nieprzystępnym wyrazem na twarzy.

Nie wiedziała, jakie dokładnie słowa padły w gabinecie ojca. Wiedziała tylko, że od tej pory kolacjom nie towarzyszył już dawny śmiech. Wiedziała, że majątek rodziny, a wraz z nim zdrowie ojca, upadały w zastraszającym tempie. Był zmartwiony i zmęczony. Powtarzał pod nosem, że Blaze Hamilton zniszczył jego samego i jego marzenia dotyczące rodziny. Po kilku dniach od tego spotkania rozpoczęła się seria ataków serca, dręcząca go przez następne osiem lat.

Janey nigdy nie spytała o szczegóły tamtego wieczora. W głębi serca czuła, że wie. Ten straszny mężczyzna szantażował jej cudownego ojca, który, dumny do końca, nigdy nie opowiedział jej całej historii.

Gdzieś w głębi serca uważała, że jeśli tylko uda się jej ocalić choć część utraconej godności ojca, istnieje dla niego jakaś nadzieja. A ocaliłaby tę godność robiąc coś, czego dotąd nie uczyniła - wymierzając Blaze'owi sprawiedliwość, dając mu próbkę upokorzenia. Ale przedtem musi go przyłapać. Tymczasem chwila ta wydawała się bardziej odległa teraz niż w dniu, w którym zaczęła dla niego pracować.

W dodatku coraz gorzej rozumiała, na czym cała ta gra polega.

- Blaze, myliłeś się co do kina.

- Co do kina? - spytał Blaze nieprzytomnie.

- Powiedziałeś, że być może nie będziemy mieli sobie nic do powiedzenia i że mam ją wtedy zabrać na film, ale było zupełnie inaczej. Cały czas rozmawialiśmy i nawet nie zbliżyliśmy się do kina.

Ale Blaze nie słuchał Clarence'a, patrzył na Janey. Zauważył jej podpuchnięte oczy. Żył na świecie wystarczająco długo, by wiedzieć, jak wygląda kobieta, która przepłakała całą noc.

Pan dentysta musiał widocznie zrobić niezłą awanturę z powodu opuszczonej randki. Trzeba porozmawiać z tą małą.

Oczywiście, Blaze, powiedział sam do siebie. Czemu nie? Będiesz z nią rozmawiał? Taki specjalista od miłości, który, wróciwszy wczoraj do domu, zastał różową sukienkę przybitą do drzwi własnego mieszkania?

Gdy Melanie zapytała, czy wśród osób, które przedłużyły pracę znalazła się nowicjuszka, należało skłamać. Nie był jednak mężczyzną przywykłym do kłamstwa. I tak zresztą miał przeczucie, że planowane na grudzień śluby nie odbędą się.

- Czy spotkasz się z nią jeszcze? - spytał Clarence'a.

Rozmarzony wzrok pracownika nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości.

- A żebyś wiedział. W sobotę zabiera mnie na tańce.

Tydzień temu miałby pewnie ochotę doradzić Clarence'owi, by wiał, gdzie pieprz rośnie. Dziś milczał. Od kiedy zapragnął znów uwierzyć w szczęśliwe zakończenia?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Clarence, wyglądasz wspaniale - powiedziała Janey do kolegi, starając się przełamać własne znużenie i przygnębiający smutek.

- Dziękuję. Obciąłem włosy u fryzjera. Po raz pierwszy w życiu. -
Roześmiał się.

- Jak się udało?

- Naprawdę spodobałem się Mabel - zwierzył się.

- A czy ona podobała się tobie? - spytała Janey z uśmiechem.

- O, tak.

Czekała, aż Blaze zacznie ich popędzać. Patrzył w ich stronę, ale nie powiedział nawet słowa.

- Ale ty, Janey, nie wyglądasz dzisiaj tak wspaniale jak zwykle. -
Tryskające szczęściem oczy Clarence'a przepelnił wyraz troski.

- Mój ojciec jest bardzo chory, Clarence - zdziwiła się słysząc, że mu to opowiada. - Czasami jest mi po prostu smutno.

- Ojej, Janey, tak mi przykro. Co mu jest?

- Od paru lat choruje na serce. Znow jest w szpitalu.

- To musi być trudne, Janey. - Jego zasmucony wzrok wyraźnie świadczył o tym, iż jego serce jest równie wielkie jak reszta ciała. - Gdybym tylko mógł coś dla ciebie zrobić, daj mi znać, dobrze?

- Dziękuję. - Dotknęła go delikatnie, a on przykrył jej dłoń swą wielką ręką, po czym wrócił do pracy.

Jej wzrok powędrował w stronę Blaze'a. Był jedyną osobą, która mogłaby uratować jej ojca znad krawędzi przepaści. Mógłby to uczynić jedynie sam w nią wpadając.

- Mówiłem ci, że Blaze pomógł mi wybrać nowe ciuchy na randkę? -
spytał Clarence.

- Co takiego?

- Wczoraj wziął mnie do dobrego sklepu i kupiliśmy ładne dzinsy i koszulę. Chciałem niebiesko-różową, ale Blaze powiedział, że mężczyzna moich rozmiarów powinien nosić coś bardziej nobliwego. Dostałem koszulę w kolorze marynarskim.

- Blaze pomógł ci wyszykować się na randkę? - Patrzyła z niedowierzaniem. Straszny Blaze?

- Tak. Nie wiedziałem, co mam mówić, i Blaze trochę mnie podszkolił.

- W jaki sposób? - spytała, starając się nie okazywać zbyt wiele zainteresowania.

- Och, poradził mi zadawać mnóstwo pytań dotyczących jej samej i tak dalej.

- Naprawdę?

„Opowiedz mi o sobie”, to były słowa Blaze'a wczoraj przy hamburgerach. Gładki jak wąż, i równie przewrotny, ostrzegła samą siebie.

A jednak, czy można nazwać węzem kogoś, kto poświęcił drugiej osobie tyle czasu i uwagi, ile Blaze poświęcił wczoraj Clarence'owi? Wąż przewrotny tylko do połowy?

Przecież to właśnie nie dawało jej spokoju przez tyle czasu! Czy człowiek może być jednocześnie zły i dobry? Nie podobało jej się to wszystko. Nie cierpiała dręczącej ją niepewności.

Jaki on był?

Raz jeszcze spojrzała w stronę Blaze'a. Szedł na powitanie inspektora budowlanego. Wbrew samej sobie zachwycała się sposobem, w jaki słońce nadawało połysk jego włosom i oświetlało mięśnie nagich ramion.

Zmrużyła oczy. Nie dowierzała temu, co widzi. Chciała się odwrócić, ale nie mogła. Przecież dokładnie na to czekała. Dlaczego zamiast triumfu, miała poczucie klęski?

Dlaczego niepewność rosła, zamiast się zmniejszać?

Blaze wyjął portfel. Przekazał inspektorowi plik banknotów. Była zbyt daleko, by widzieć nominały, ale tak naprawdę nie miały one większego znaczenia.

Odwróciła się, by sprawdzić, czy Clarence też widział tę scenę, ale on był całkowicie pochłonięty pracą. Janey także wróciła do własnej, ale czuła się, jakby miała na ramionach ciężar całego świata.

Co będzie dalej? Co ona narobiła?

- Dzień dobry, Blaze.

- Cześć, Cal. Wziąłeś dziś lupe, żeby przyjrzeć się mojej budowie? -

Blaze i Cal dorastali razem. Choć tak naprawdę nie byli przyjaciółmi, to jednak łączył ich wzajemny szacunek i sympatia.

- Nie zamierzałem się specjalnie wysilać. Znam jakość twojej pracy.

- Miałem tu akty wandalizmu poważnych rozmiarów.

- Jakie akty wandalizmu? - Cal uniósł brew w wyrazie zdziwienia.

Blaze opowiedział mu wszystko. Cal gwizdnął cicho.

- To całkiem poważny problem. Czy zamierzasz powiadomić policję?

- Jeśli to się powtórzy, tak. Kto wie? Może to był po prostu pech.

- Może. - Uwaga Cala skupiła się teraz na domu. Po chwili uśmiechnął się łobuzersko. - Widzę, że dziewczyna wciąż tu jest.

- Tak.

Nie wiedzieć czemu czuł się zawsze lekko obrażony, kiedy ktoś mówił o Janey dziewczyna. Był w tym jakiś kompletny brak zrozumienia powagi całej tej sytuacji, położenia, w jakim się znalazł. Czy żaden z tych facetów nie widział, że na jego budowie znajduje się pełnokrwista, gorąca kobieta?

- Musisz mi zapłacić. Założyłeś się o dziesięć dolców, że pozbędziesz się jej w ciągu tygodnia.

- Podwajam stawkę i daj mi jeszcze jeden tydzień.

- Nie ma mowy. Wygląda na to, że się tu zadowiodła.

Blaze wyjął portfel i podał Calowi pieniądze. Nagle zrozumiał, że mu na niej zależy. I poczuł też złość. Chciałby spędzić pięć minut sam na sam z Panem Dentystą.

Był zadowolony, że Cal nie zgodził się na przedłużenie zakładu. Znowu by przegrał. Co innego radzić sobie z nią, kiedy była w walecznym nastroju. Co innego napadać na nią teraz, kiedy jej oczy przepełnione były niewypowiedzianym smutkiem, kiedy widniały pod nimi szare sińce i kiedy jej zwykle wyprostowane ramiona, wydawały się dźwigać jakiś ciężar.

Gdybyś naprawdę chciał się jej pozbyć, nie przejmowałbyś się tym, w jakim jest aktualnie nastroju, podpowiadał mu jakiś wewnętrzny głos.

Nie byłoby to eleganckie, odpowiedział sam sobie. Starał się przestać o niej myśleć, ale aż do przerwy na kawę nie udało mu się to.

Podszedł do Clarence'a.

- Co jest dzisiaj z Janey? Pokłóciła się z dentystą?

- Jest dziś nieswoja, prawda? - Clarence posłał w jej stronę pełne troski spojrzenie. - Mówi, że jest smutna, bo jej ojciec choruje.

Dopiero teraz, kiedy dowiedział się, że to nie ma nic wspólnego z dentystą, zdał sobie sprawę, jak bardzo pragnął, by jej narzeczeństwo okazało się nieudane.

Na wiadomość, że jest smutna z powodu ojca, jego serce zareagowało w przedziwny sposób. Miał ochotę do niej podejść, otoczyć ją ramieniem, przytulić do piersi i pozwolić się wypłakać.

Potrząsnął głową, starając się odrzucić tę niechcianą pokusę. Od kiedy się tu zjawiała, nic nie było już takie jak niegdyś, pomyślał ze smutkiem.

I nieraz czuł, że już nigdy nie będzie takie samo jak niegdyś.

Janey dostrzegła Tuffy'ego idącego w jej stronę. Na jego widok poczuła ulgę, ale i lęk. Kiedy odchodził poprzedniego dnia, był naprawdę zły. Teraz na jego twarzy nie było już gniewu, ale przybrała ona kompletnie nieprzenikniony wyraz.

Podszedł i stanął przed nią w milczeniu, a jego błękitne oczy miały chłodny wyraz.

- Dzień dobry - powiedziała nerwowo.

Sięgnął do kieszeni koszuli i podał jej starannie złożoną kartkę. Co to było? Wyznanie winy?

Tłumiąc śmiech rozwinęła papier i popatrzyła na zgrabne, bardzo kobiece pismo.

„Thomasowi trudno jest rozmawiać z ludźmi, którzy nie są jego rodziną. Ma zaburzenia mowy”.

Janey przez długi czas przyglądała się tym słowom, wyczuwając w nich ogrom dumy i miłości, podziwiając odwagę stojącego przed nią mężczyzny, który, zamiast odejść i nigdy nie wrócić, poprosił kogoś, by to dla niego napisał.

Wzięła głęboki oddech i popatrzyła na Thomasa. Wyraz jego twarzy był stanowczy i dumny. Ale nie dostrzegła już w jego oczach tego chłodu. Ujrzała nagle małego chłopca, który był prześladowany przez rówieśników i nauczycieli. Dostrzegła wyśmiewanego przez współpracowników młodego mężczyznę, który wybrał w końcu milczenie i opór jako jedyne metody radzenia sobie ze światem.

Wybuchła płaczem. Nigdy wobec nikogo nie pomyliła się bardziej i było jej koszmarnie wstyd.

Wyraz twarzy Thomasa zmienił się z obronnego w zaskoczony, a po chwili kompletnie przerażony. Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu pomocy, a kiedy nie nadchodziła, wydawało się, że zacznie o nią wołać. Ale nie zrobił tego. Jego twarde, nieprzystępne rysy zmiękły i po chwili objął ją ramionami.

- No, no - starał się ją pocieszyć. - Ju obrze, obrze.

Rozmiar jego zaburzeń sprawił, że zapłakała jeszcze bardziej. Ten biedny mężczyzna żył zamknięty w więzieniu stworzonym przez niemożność porozumienia się. Robił z siebie nieprzystępnego i twardego po to, by świat nigdy się

nie dowiedział i zostawił go w spokoju. I nikt tego nie dostrzegł. Ona także nie. Ale jakim cudem on tego nie wie? - pomyślała ze złością o swym pracodawcy.

- Tak mi przykro - szlochała.

Poczuła się taka zmęczona i zmieszana. Kłębiło się w niej tyle sprzecznych uczuć, a Thomas wydawał się być gotowy trzymać ją w ramionach tak długo, jak długo tego potrzebowała.

- Zostaw ją. - Słowa te były wypowiedziane delikatnie. Zbyt delikatnie.

Spojrzała przez ramię Thomasa na błyszczące gniewem i groźbą oczy Blaze'a.

Thomas opuścił rękę i spojrzał na szefa. Wysunęła się do przodu.

- Blaze, nie! To nie tak. Thomas nie robił mi nic złego.

- Thomas - powiedział bezbarwnym głosem. - A więc co Thomas robił? A może Thomas powiedziałby sam za siebie?

W oczach małego żylastego mężczyzny dostrzegła przez chwilę mnóstwo bólu, który już po chwili zastąpiony został obronnym kamiennym wyrazem.

- Czy mogę mu to pokazać? - spytała delikatnie, wskazując na małą kartkę. - Proszę.

Thomas wzruszył ramionami, tak jakby nie robiło mu to różnicy.

- Patrz, Blaze.

Podala mu kartkę. Przeczytał notatkę. Z jego rysów zniknęła drapieżna gotowość do walki. Sztywne ramiona rozluźniły się.

- Przepraszam, Thomas - powiedział ze wstydem tak szczerym, że z trudem powstrzymała kolejny wybuch płaczu. - Nie wiedziałem. Janey opowiedziała mi o waszym wczorajszym nieporozumieniu. Kiedy wyszedłem z za rogu i ujrzałem ją w twoim uścisku płaczącą, wyciągnąłem niewłaściwe wnioski. Przepraszam.

Thomas skinął, z godnością i zrozumieniem. Nagle dotarło do niej, że on bardzo lubił Blaze'a, co tylko pogłębiło jej zamęt.

- Teraz myślę, że źle zrozumiałem twoje imię pierwszego dnia, kiedy zacząłeś tu pracować - ciągnął miękko Blaze. - Nie powiedziałeś Tuffy, prawda? Thomas potrząsnął głową.

- Będę pamiętał, by nazywać cię Thomasem. Jeśli jest coś jeszcze, co mógłbym dla ciebie zrobić, daj mi znać. Ubezpieczenie medyczne naszej firmy pokryłoby pewnie koszty wizyty u specjalisty, gdybyś tego chciał.

Znów pełen godności zaprzeczający ruch głową, po którym Thomas odszedł.

- Jak mogłeś tego nie wiedzieć? - spytała Janey z delikatną nutą oskarżenia w głosie.

- Posłuchaj, droga damo, w tej właśnie chwili zupełnie nie potrzebuję wytykania mi, że jestem oferumą, dobra? Tak się składa, że jestem w pełni świadom tego faktu i nie jest to dla mnie powód do dumy. Nie potrzebuję wykładów.

- Ja nie...

- I nie naciskaj na niego w sprawie wizyty u specjalisty. Jeśli będzie sobie tego życzył, poprosi. Gdyby chciał, żeby ktoś wiedział o jego zaburzeniach, powiedziałby o tym wcześniej. Zrobił tak dlatego, że został przyparty do muru, a nie po to, by ktoś teraz zajął się jego życiem.

- Tak jakbym tylko na to czekała - wybuchła oburzona. - Jak śmiesz sugerować, że narzucam się ludziom ze swą dobrocią.

- A przy okazji, skoro już stajesz do konkursu na najlepszą osobę roku, jak to się stało, że nie spytałaś mnie o moje prawdziwe imię?

- Twoje prawdziwe imię? - powtórzyła.

- Nieważne. Za chwilę przychodzą dachówkarze, a ja nie jestem gotowy. Byłoby to piękne uzupełnienie tego idealnego dnia. Faceci, którym płacę sto dolarów za godzinę, siedzą beczynn timer, a ja uczestniczę właśnie w treningu wrażliwości.

Odwrócił się i odszedł. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że przecież odszukał ją po to, by powiedzieć, jak bardzo jest mu przykro z powodu jej ojca.

Obejrzał się i zauważył, że ta mała utarczka zrobiła jej lepiej, niż najlepiej zamierzone współczucie. Policzki Janey znów się zaróżowiły, a w oczach połyskiwały ogniki.

- No, już lepiej - mruknął do siebie.

Siedzieli jedząc lunch, gdy Blaze spojrział nagle na drogę, zeszywniał i wypowiedział trzy przekleństwa, połączone w nie znaną jej dotąd kombinację. Poczula, jak płoną jej uszy.

- Co się dzieje? - spytała.

Widziała już, jak traci panowanie nad sobą. Widziała go w chwili największego wysiłku, kiedy dźwigali ścianę. Ale nigdy nie widziała go... zaniepokojonego.

- Właściciele - powiedział, nadając temu jednemu słowu niezwykle dramatyczne brzmienie. - Co za dzień!

Gotowa była przysiąc, że znów nastąpi potok niezrozumiałych słów, ale skończyło się na zabawnym spojrzeniu.

- Czy coś nie tak z właścicielami? - spytała ostrożnie.

- Nie tylko z tymi.

- Nie rozumiem.

- Ci ludzie, zbliżający się do nas z błyszczącymi oczyma i niemowlętami na rękach, przyjechali zobaczyć realizację swojego marzenia. Wyobrazasz to sobie?

Wyobrażała sobie i, co więcej, uważała, że to musi być cudowne.

- Ponadto, co bardzo prawdopodobne, wydają na to marzenie więcej pieniędzy, niż wydali kiedykolwiek na cokolwiek.

Powiedział to tak, jakby oczekiwał od niej wyciągnięcia jakiegoś wniosku, ale nic się jej nie nasuwało.

- Więc?

- Marzenia i nadwreżone nerwy to nie najlepsze połączenie - mruknął.

- Dlaczego?

- Zwykle zaczyna się od niej: Ojej, kuchnia nie jest aż tak duża, jak sobie to wyobrażałam. Czy sądzisz, że moglibyśmy przesunąć tę ścianę? Czy można dać okienko w suficie łazienki? Czy ten schowek mógłby się znaleźć tutaj? Czy możemy mieć podwójny garaż zamiast pojedynczego? Jak wykończymy piwnicę?

- Blaze - zaczęła się śmiać - niepotrzebnie się tak denerwujesz.

- Nie denerwuję się, a poza tym potrzebnie. Tu chodzi o czas i...

- Pieniądze - domyśliła się z goryczą.

- Posłuchaj, byłoby cudownie, gdybyśmy żyli w świecie, w którym pieniądze nie grają żadnej roli, ale niestety tak nie jest. Jeśli chcesz żyć w ten sposób, zostań misjonarką w Afryce albo załóż ośrodek dla upośledzonych dzieci. Ale opuść moją budowę.

- Wiem, że nie myślisz tak naprawdę. Jesteś po prostu zdenerwowany.

- Nie jestem - odparł. - Ale ludzie chcą, żeby ich domy wskrzesiły w nich jakieś uczucia. Uważają, że dom da im szczęście. Zgadnij, kto będzie winny, jeśli odkryją, że jednak nie są szczęśliwi? Jeśli byli nieszczęśliwi przedtem, nadal będą nieszczęśliwi i nawet dwanaście okienek w suficie łazienki nie jest w stanie tego zmienić.

- No cóż, ci nie wyglądają na nieszczęśliwych. To mili ludzie - powiedziała łagodnie. Uśmiechnęła się. Młody mężczyzna usiłował utrzymać pod pachami dwoje wierzgających, może osiemnastomiesięcznych, dzieci. - Zajmę się nimi. Dobrze?

- Czy dobrze? - odparł uszczęśliwiony Blaze. - Jeśli się nimi zajmiesz to...

- Nigdy więcej nie nazwiesz mnie małą ani nowicjuską?

- Ciężki wybór.

- Witaj, Blaze - powiedział mężczyzna.

- Zgoda - rzucił zdesperowany Blaze. - Dave, Caroline, to Janey Smith. Oprowadzi was. - Popatrzył na dzieci i poczuł się zobowiązany do krótkiej rozmowy. - Miłe dzieciaki - powiedział niezręcznie i odszedł.

Kiepski dyplomata, pomyślała Janey z uśmiechem.

Młoda para patrzyła na nią z takim zdziwieniem, że z pewnością nawet nie zauważyli braku taktu z jego strony.

- Pracujesz na budowie naszego domu? - spytał wreszcie Dave, tak jakby się nagle przestraszył, że podczas snu dom zawali mu się nad głową.

- Nie powinieneś mówić tego w ten sposób - skarciła go żona.

- Czy mogę wziąć jedno z nich? - zaproponowała Janey, wyciągając ręce w stronę dziecka.

- Dziękuję. Caroline nie powinna teraz dźwigać - dodał z rumieńcem zadowolenia na twarzy.

- Gratulacje - powiedziała Janey, biorąc dziecko na ręce. Podrapała je pod policzkiem, wywołując uśmiech, a następnie posadziła sobie na kolanach.

- Jestem tu pomocnikiem cieśli. Lubię tę pracę i jestem w niej dobra.

- Nie sugerowałem, że jest inaczej - powiedział przeproszająco Dave - byłem po prostu trochę zaskoczony.

- Ja uważam, że to cudownie - powiedziała Caroline.

- Dziękuję. Blaze przygotowuje się do przybycia dachówkarzy i dźwigu. Nie chce, żeby czekali, ponieważ ich praca kosztuje mnóstwo pieniędzy. Postanowiliśmy więc, że ja was dzisiaj oprowadzę. Po dachu, co zajmie około czterech dni, zajmiemy się oknami i schodami, i po następnych kilku dniach dom w stanie surowym będzie gotowy.

- Być może będziemy mogli wprowadzić się szybciej, niż myśleliśmy - wykrzyknęła uszczęśliwiona Caroline.

- Chyba nie - uśmiechnęła się Janey. Dlaczego Blaze nie lubi uczestniczyć w dzieleniu tak wielkiej radości i marzeń? Janey bardzo się to podobało.

- Data ukończenia, którą podał wam Blaze pewnie się nie zmieni. Kiedy inni wykonawcy zaczynają roboty wykończeniowe, zajmuje to zwykle więcej czasu niż sama budowa.

- Och - powiedziała Caroline. - Czy to jest kuchnia? - W jej głosie wyczuwało się rozczarowanie. - Wydaje się taka mała. Może moglibyśmy przesunąć tę ścianę...

- Wcale nie jest mała - zapewniła ją Janey. - Po prostu trudno sobie to wszystko wyobrazić, dopóki nie jest skończone. Za chwilę przyniosę ci plan i zobaczysz to na tle całego domu.

Po obejrzeniu planu Caroline uspokoiła się. Janey prowadziła ich z pokoju do pokoju, opowiadając o wszystkich szczegółach.

- Blaze nigdy nie mówi nam tych rzeczy - powiedziała Caroline. - Zawsze mam wrażenie, że przegania nas po domu tak szybko, jak tylko jest to możliwe, prawda, kochanie?

Janey roześmiała się.

- Moja najdroższa - powiedział mąż - on ma opinię uczciwego i terminowego wykonawcy. Tylko to się liczy.

Dobry humor Janey znikł. Nie wiedziała, do czego zmierza Blaze, ale pamiętała scenę z inspektorem, jaką zauważyła dzisiejszego ranka.

Może dlatego tak trudno było mu się spotykać z właścicielami. Niełatwo jest przebywać twarzą w twarz z ludźmi, których się w jakiś sposób oszukuje.

Było tak wiele rzeczy, które do siebie nie pasowały, które nie miały żadnego sensu.

W każdym razie nie dawała tego po sobie poznać, by nie osłabiać entuzjazmu tej przemiłej pary. Odwiodła ich od kilku planowanych przeróbek, tłumacząc to brakiem potrzeby lub znacznymi kosztami, pozostawiając jednak ostateczną decyzję im samym.

Blaze kątem oka obserwował ją, trzymającą dziecko na biodrze. Od czasu do czasu zmieniała biodro, ale robiła to tak naturalnie, jakby całe życie

niańczyła dzieci. Nie wiedzieć czemu wolałby, żeby nie radziła sobie w kobiecych zajęciach, takich jak pieczenie ciasteczek, czy opiekowanie się dziećmi.

Para wałęsała się po budowie przed długi czas. W końcu odjechali.

- W porządku - krzyknął. - Czego chcieli?

- Chcieli, żeby ich dom został wybudowany na czas i za ustaloną cenę - powiedziała.

Był świadomy, że przygląda mu się badawczo.

- Dobrze, nie ma problemu, chyba że zechcą dobudować skrzydło, werandę i wykończyć wszystko marmurami.

- To byli tacy mili ludzie - powiedziała poważnie. Ale w jej oczach znów był ten wyraz, którego nie rozumiał.

Popatrzył na nią.

- Spędziłaś z nimi zaledwie godzinę i już ich lubisz?

- Dobrze, że wiesz, jak się buduje domy, bo jeśli chodzi o twoją osobowość, to z pewnością nie napędziłaby ci ona klientów.

Zabolały go jej słowa, choć nie zamierzał tego okazywać. Co złego było w jego osobowości? Co takiego miał w sobie ten głupawy dentysta, czego jemu brakowało?

- Nie jestem najlepszy w kontaktach z klientami. Ale co z tego? Dostaję więcej ofert na budowę domów, niż mogę przyjąć. Jakich chcą zmian? Jeśli obiecałaś im coś, czego nie jestem w stanie zrobić, to daję ci słowo, mała, że...

- O! - upomniała go - sądziłam, że zawarliśmy umowę.

- Zaczyna mi to przypominać szkółkę niedzielną - powiedział ponuro. - W porządku, Janey, jeśli zatem obiecałaś im coś, czego nie mogę wykonać, ukrećę ci głowę.

- Chciała większą kuchnię.

Młotek, który trzymał w ręku przeleciał kilkanaście metrów i uderzył w jego ciężarówkę.

- I szerokie okno w jadalni.

Jego miarka podzieliła los młotka.

- On stwierdził, że dodatkowe okno w sypialni byłoby bardzo na miejscu.

- Co im odpowiedziałś? - spytał z otwartą wrogością.

- Masz coś jeszcze do rzucania?

- Ciebie.

- No więc posłuchaj. Powiedziałam, że kuchnia spodoba się jej, kiedy zostanie skończona. Pokazałam ją na planie, żeby zorientowała się w rozmiarach.

- I?

- Powiedziała, że tak jak jest będzie dobrze.

- Nie! Żartujesz!

- Wcale. Wiedziała, że w sprawie kuchni może zaufać drugiej kobiecie. Powiedziałam, że osobiście nie lubię wielkich okien z powodu utraty ciepła. Wspomniałam, że nie byłaby pewnie zachwycona chłodnymi miejscami w domu, w którym jest tyle dzieci.

- A ona?

- Straciła zainteresowanie szerokimi oknami.

- Jesteś cholernie genialna. Chyba zadzwonię do Organizacji Narodów Zjednoczonych i spytam, czy chcieliby cię zatrudnić. Czyli zostaje nam jeszcze dodatkowe okno w suficie, ale jakoś to przeżyjemy.

- Właściwie to powiedziałam mu, iż okna w suficie przyczyniają się do większej kondensacji i że łazienka nie jest chyba dla nich najlepszym miejscem. Wspomniałam też, że są dosyć drogie.

- Odwołuję telefon do Organizacji Narodów Zjednoczonych. Wolałbym raczej cię uściskać.

- A może zamiast tego dasz mi dwanaście dolarów za godzinę? - zaproponowała szybko, ale już mówiąc te słowa, żałowała tej chwili ciepła, z której właśnie rezygnowała, żałowała momentu, w którym poczułaby jego siłę.

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. Widziała jego białe i zdrowe zęby.

Z całą pewnością był najwspanialszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała. Zaręczona kobieta nie powinna czuć tak silnego fizycznego przyciągania do innego mężczyzny.

- Załatwione, osesku.

- Blaze!

- Zgodziłem się tylko na „małą” i „nowicjuszkę”.

Zaczęła się śmiać. Czy z tym mężczyzną można kiedykolwiek wygrać? Kobieta, która wie, że ma, według wszelkich znaków na niebie i ziemi, do czynienia z draniem, nie powinna czuć tak wielkiego zachwytu nad jego poczuciem humoru i tak wielkiego uznania dla jego sposobu życia.

Jej śmiech zgasł gwałtownie. Musi wygrać. Musi pamiętać, po co tu przyjechała. I wkrótce musi znaleźć jakieś niedopatrzenie, bo inaczej jej sprzeczne emocje doprowadzą ją do szaleństwa.

Do punktu, z którego nie ma już powrotu.

Blaze wszedł do biura zatrudnienia, mając nadzieję, że uzyska informacje brakujące do podania o uzupełnienie poborów Janey.

Czuł się świetnie. Mimo problemów, budowa przebiegała zgodnie z planem. Janey wyperswadowała tym ludziom wszelkie pomysły, które mogłyby opóźnić prace. Przy odrobinie szczęścia za tydzień będzie mógł zacząć nowy dom.

Zastanawiał się, czy to uczucie szczęścia miało coś wspólnego z wrażeniem, jakiego doznał, kiedy zobaczył ją trzymającą dziecko na rękach.

Lubił ją. Cholera, zrobił wszystko, żeby do tego nie doszło. Zrobił wszystko, żeby się jej pozbyć.

Może właśnie dlatego Polubienie kogoś niesie za sobą ryzyko. Zwłaszcza polubienie kobiety, takiej kobiety. Takiej, która była mu równa. Która podzielała jego poczucie humoru, jego energię i jego upodobanie do ciężkiej pracy na powietrzu.

Która tak wspaniale wyglądała w niebieskich dżinsach i przypominała mu kaczenie.

- Duże niebezpieczeństwo - mruknął do siebie, zapożyczając określenie, które usłyszał od Clarence'a.

Janey sprawiała, że czuł. Że wszyscy oni czuli. Od kiedy przybyła, ich praca zmieniła się. Było więcej śmiechu, mniej ubolewania, więcej współpracy, mniej przeklinania.

- Panie Hamilton, starałem się z panem skontaktować. Nadal mamy problemy z tym zgłoszeniem.

- Nic dziwnego - powiedział ironicznie, nadal w świetnym nastroju.

- Nazwisko, jakie nasz komputer wyświetla pod tym numerem ewidencyjnym, nie brzmi Janey Smith. Czy Smith jest może jej nazwiskiem panińskim?

- Nie - Janey nie była typem kobiety, która wyszłaby za mąż i rozwiodła się przed ukończeniem dwudziestego czwartego roku życia. Była typem kobiety, która mówi „tak” na całe życie.

Nawet jeśli wypowiedziałyby je wobec niewłaściwego mężczyzny. Świadomość tego faktu zaczynała psuć jego wspaniały humor.

- A jakie nazwisko wyświetla komputer?

- Jane Margaret Sandstone.

Resztki dobrego humoru ulotniły się jak powietrze z przekłutego balonu, tak gwałtownie, że o mało nie upadł.

Zapanował nad sobą. Wyprostował się i zamroził twarz w wyrazie lodowatego nieprzejednania.

- Doprawdy? - Tylko tyle powiedział.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Sandstone.

Jane Margaret Sandstone.

Blaze opuścił biuro zatrudnienia i poszedł do ciężarówki. Wskoczył do niej, ale nie ruszył. Usiadł, obojętny na odgłosy miasta, oszołomiony i zdradzo-
ny.

Zawsze wiedział, dlaczego podobają mu się takie kobiety jak Melanie: ponieważ one nie ranią. Melanie miała mnóstwo wad, ale była dokładnie taką osobą, jaką się wydawała - piękną egoistką.

Janey to co innego. Wydawała się miła i słodka, pełna życzliwości i dobrej woli. Piekła ciasteczka, nosiła dzieci i wysłała Clarence'a na randkę. Płakała, kiedy niechcący uraziła Thomasa. Promieniała wewnętrznym ciepłem, które cegiełka po cegiełce niszczyło jego mur obronny.

Takie kłamstwo bolało. Uderzało w samo sedno.

Czego od niego chciała?

Wiedział już.

Zemsty.

Kawałki układanki zaczynały przybierać konkretne kształty. Jej spojrzenie, w ciągu pierwszych dni pełne złości i oskarżenia. Wypadki w pracy. Jej samotna praca do późna.

Uśmiechnął się i nieomal poczuł w ustach gorycz tego uśmiechu.

A więc jej ojciec to Sam Sandstone.

To było tak dawno temu. Był młodym mężczyzną szukającym swego miejsca w życiu. Prawie dwa lata studiował na uniwersytecie, ale tęsknił za wolnością.

Rozpierała go energia. Nie mógł usiedzieć w miejscu. O wiele szczęśliwszy był na budowach, gdzie pracował w czasie wakacji, od kiedy skończył czternaście lat.

Wziął sprawy w swoje ręce. Mimo protestów rodziny, która od wieków składała się z intelektualistów, opuścił szkołę. Był zachwycony, gdy zaczął pracować z Sandstone'em przy ogromnym zleceniu, początkowej fazy budowy trzydziestu dwóch luksusowych kondominiów.

Wkrótce jednak zorientował się, że Sam Sandstone lubił blefować i składać nierealistyczne obietnice. Jego ambicja znacznie przekraczała możliwości finansowe. Z początku Blaze przymykał oko na drobne fuszerki. Położenie zbyt cienkiego podkładu pod podłogami w piwnicy nie groziło nikomu śmiercią.

Jednak pewnego dnia po przyjściu do pracy zauważył, że mieszanka, którą mieli wylewać fundamenty, zmieniała swój skład. Większość stalowych drutów, nadających cementowi siłę, została usunięta.

Cały dzień rozmyślał, co zrobić. Chciał po prostu odejść, zostawić to wszystko. Ale wiedział, że jeśli ma być w zgodzie z samym sobą, odejście nie załatwi sprawy.

Tego wieczora poszedł do Sandstone'a.

Sandstone przedstawił mu swoją trudną sytuację finansową i Blaze'owi zrobiło się przykro, ale nie mógł się cofnąć. Spotkanie zakończyło się tragicznymi okrzykami Sandstone'a, że jest zrujnowany.

I była to prawda. Przedsiębiorstwo budujące kondominia upadło, zanim domy pokryte zostały dachami. Serce Sama Sandstone'a nie wytrzymało.

Blaze wracał do tego wielokrotnie. Wiedział, że postąpił słusznie, ale nie zmieniało to faktu, że wciąż pamiętał dziewczynkę, która tamtego wieczora otworzyła mu drzwi.

Miała wtedy długie włosy i szczęśliwą roześmianą buzię.

Natychmiast instynktownie zrozumiał, że ta dziewczynka jest jednym ze źródeł niepohamowanej ambicji Sama. Sam był typem mężczyzny, który prawdopodobnie chciał jej dać wszystko. Najlepsze ubrania, najlepszy dom, prywatne lekcje i ciekawe podróże.

Nie wiedzieć czemu, nie wspomnienie Sandstone'a, ale właśnie wspomnienie jego córki prześladowało go potem przez długie lata.

Wiedział, że decyzje Sama wpłyną na losy jego rodziny. Czy dziewczynka zapłaci cenę za jego ambicję? Ta dziewczynka, która wyrosła na kobietę?

Tamtej nocy dostrzegł na jej twarzy miłość i lojalność wobec ojca. Poczuł nawet pewną ulgę, że Sandstone nie zostanie sam ze swoją przyszłością. Ale teraz ta miłość i lojalność przywiodły ją do niego w poszukiwaniu zemsty.

Takie już jego szczęście. Najlepszy pracownik, jakiego kiedykolwiek miał, był tu po to, by go zniszczyć.

Włączył silnik i pojechał na budowę. Będzie musiał przyłapać ją na gorącym uczynku. Wspaniały sposób spędzenia weekendu, pomyślał niechętnie, siadając u wrót budowanego domu, czekając na jej przyjście.

I modląc się, by tak się nie stało.

- Jonathan, dziś nie będę mogła cię gościć na naszym filmowym wieczorze.

Jej narzeczony kończył właśnie swoją pracę. Umył ręce i zdjął biały fartuch.

Janey patrzyła na niego krytycznie. Nienawidziła samej siebie za to, że porównuje go z Blaze'em. Dlatego nadeszła pora, by zakończyć sprawę, zanim całkowicie wymknie się spod kontroli.

- Przegapione randki, odwołane kolacje, pokiereszowane ręce, opalony nos. Janey, czy widzisz, że ta praca ci nie służy?

Czy nie widział, jak świetnie się czuła? Przynajmniej fizycznie była silna, energiczna i zdrowa. Czuła, że żyje.

- Prawdopodobnie nie popracuję tam długo.

Skąd to nagle uczucie smutku? Było w tym chyba coś więcej niż tylko żal za pracą, którą się lubiło? Może była to cena zemsty?

- Nie będziesz tam pracowała długo? Świetnie, Bogu dzięki! Co sprawiło, że się opamiętałaś?

- Już prawie skończyliśmy ten dom i nie sędzę, żeby Blaze zatrudnił mnie przy następnym.

Zwłaszcza, jeśli uda mi się zrealizować mój plan, pomyślała. Weekend nie zapowiadał się najlepiej. Będzie musiała spędzić noc na budowie, czekając na jego przyjście.

I modląc się, by tak się nie stało.

- Czy coś niedobrze między tobą a szefem? - spytał Jonathan z nie skrywaną radością. A może była to tylko ulga?

- Między mną a Blaze'em nigdy nie było szczególnie dobrze - odparła.

Nie była to do końca prawda. Bywało przecież bardzo dobrze. Ich znajomość miała chwile pełne radości, śmiechu i przygody. Nawet kiedy nie rozmawiali twarzą w twarz, obecność Blaze'a działała na nią jak wyzwanie. To chyba nie sama praca, a właśnie Blaze sprawiał, że czuła się szczęśliwa i zadowolona z życia.

I dlatego musi się to skończyć.

- Czy moglibyśmy zamienić się dziś samochodami? - spytała.

- Zamienić się? Przecież nienawidzisz mojego samochodu.

- To niezupełnie prawda. Po prostu nie rozumiem, jak możesz jeździć czymś takim, kiedy ludzie nie mają gdzie mieszkać.

- Po co ci mój samochód? Chcesz kogoś oszołomić?

- Nie, przeciwnie, nie chcę być zauważona.

- Chyba ci się to nie uda. Ludzie raczej zauważają jaguary!

- Nie wszyscy ludzie - odparła i poczuła nagle dziwny smutek.

Z lekkim ociąganiem podał jej kluczyki.

- Och, Janey - powiedział z wyrzutem. - Popatrz na swoje ręce.

Spojrzała na nie. Uważała, że wyglądają całkiem nieźle. Jeden mały odcisk, jeden ułamany paznokieć, brązowa opalenizna.

Ich spojrzenia spotkały się. Prawie fizycznie czuła, jak się od siebie oddalają, miała wizję statku odbijającego od nabrzeża. Jeśli jedno z nich nie przeskoczy wkrótce przepaści dzielącej statek od brzegu, będzie za późno.

- Janey, uważaj na niego. Prowadzi się go trochę inaczej niż twój wóz.

- Będę uważać - obiecała, ale nie miała na myśli samochodu.

Zmarszczył brwi.

- Janey, nie planujesz chyba jakiegoś głupstwa, prawda?

- Znasz mnie przecież.

Nie wyglądał na przekonanego. Robił wrażenie człowieka, który jej w ogóle nie zna.

Pożyczenie samochodu od Melanie może okazać się błędem, pomyślał Blaze. Choćby nie wiem jak próbował, nie mógł przyzwycząić się do niskich samochodów sportowych. Ale gdyby zaparkował ciężarówkę na ulicy, byłby to jawny znak, że jest na budowie. A wtedy ona już by nie przyszła.

Jeśli w ogóle przyjdzie. To już była jego druga noc na punkcie obserwacyjnym. Cieszył się, że nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy zostać policjantem.

Nalał sobie z termosu kolejną filiżankę kawy. Spojrzał na zegar samochodowy. Dziesięć po trzeciej. Wydawało się, że od czasu, gdy ostatnio sprawdzał czas, minęły trzy godziny, a wówczas było trzy minuty po trzeciej.

Popatrzył na ulicę. Cztery z nowych domów były już ukończone, tak więc stało przed nimi kilka samochodów, choć w sumie była to nadal dosyć pusta dzielnica.

Z nudów zaczął się przyglądać samochodom. Stary szewrolet, zapewne pierwszy samochód jakiegoś nastoletniego chłopca, jakiś mikrobus.

I srebrny jaguar. Handlarz narkotykami albo lekarz, pomyślał. Nikt inny nie pozwala sobie ma takie kaprysy.

Już miał się odwrócić, gdy wydało mu się, że w jaguarze coś się poruszyło. Zmrużył oczy. Samochód doktora. Czy naprawdę był tak naiwny, by sądzić, że ona przyjedzie swoim małym czerwonym volkswagenem?

Cicho otworzył drzwi samochodu Melanie. Wyciągnął rękę i zgasił wewnętrzne światło. Wymknął się z wozu, nie zamykając za sobą drzwiczek. Podeszedł do zaparkowanego samochodu.

Nagle usłyszał odgłos piły, dochodzący od strony jego domu. Pospiesznie popatrzył na samochód i upewnił się, że nie miał racji. Nie było w nim żadnego ruchu. Znów usłyszał piłę. A więc była już na miejscu? Zaczął wolno zmierzać w stronę wzgórza.

Co z nią zrobi, kiedy ją dopadnie? - spytał samego siebie.

Zabij ją, poradził mu jeden głos.

Pocałuj ją, dodał drugi.

Odgłos piły przycichł na chwilę, po czym rozległ się znowu.

Janey obudziła się nagle. Gdzie była? Przepęłniła ją niechęć do samej siebie. Była w samochodzie Jonathana i zasnęła. Czuwała już drugą noc z rzędu. Trudno w ten sposób złapać kryminalistę. Jeśli w ogóle taki był.

Co ją obudziło? Rozejrzała się dookoła i zobaczyła Blaze'a, idącego powoli pod górę.

Łzy same napłynęły jej do oczu i przetarła je zniecierpliwionym ruchem ręki. Poczekała, aż zniknie w domu i wtedy ostrożnie otworzyła drzwi wozu, wysiadła i poszła za nim.

Co mam zrobić, kiedy go złapię? - pytała samą siebie.

Gdy podeszła bliżej, usłyszała charakterystyczny odgłos ręcznej piły. Powinna czuć satysfakcję, ale nie stało się tak. Czuła smutek i samotność. Samotność, jakiej nigdy dotąd nie doświadczyła. Dom był ciemny, gdzieś tam przeświecało tylko światło księżyca. Weszła do środka, kierując się w stronę dźwięku.

Nadepnęła na trzeszczącą deskę. Odgłos piły zamilkł gwałtownie. Stała nieruchomo, nawet nie oddychając, ale piła nie została już włączona. Biorąc głęboki oddech, brnęła dalej w kompletnej ciemności.

Wysunęła ręce do przodu jak osoba niewidoma. Dalej było nieco jaśniej, szła więc w tamtym kierunku.

- Och!

Uderzyła o coś. Nie, o kogoś. O kogoś ciepłego i dużego.

Przestraszony okrzyk wyrwał się z jej ust. Poczula, że ktoś chwyta ją mocno za przegub dłoni.

- Janey? - szepnął.

- Gra skończona, Blaze - powiedziała głośno i z dużo większą dozą pewności siebie, niż naprawdę czuła.

- Jeśli ty jesteś tutaj - powiedział zdumiony - to kto jest tam?

Spojrzała w kierunku światła i zobaczyła jakąś zamarłą w bezruchu sylwetkę. Sylwetka ta wstała nagle i błyskawicznie zaczęła uciekać.

Blaze i Janey rzucili się w pogoń. Człowiek, którego gonili, był niski, ale bardzo sprawny. Świadom, że goni go wielki i silny mężczyzna, biegł w niesamowitym tempie.

Żeby tylko nie miał broni, mówiła do siebie Janey. Ani noża, dodała w myślach widząc, że Blaze wyciąga rękę i łapie nieznajomego za kołnierz.

Obaj upadli na ulicę, na której się w międzyczasie znaleźli. Wywiązała się między nimi walka, ale, z powodu oczywistej różnicy sił, nie trwała długo.

Nim Janey dobiegła, Blaze klęczał już nad klatką piersiową pokonanego, przytrzymując kolanami jego ręce. Przepelniona wrogością twarz i pełne złości spojrzenie skierowane na Blaze'a wydały się Janey znajome.

Blaze uniósł mężczyznę do góry i postawił go na nogi.

- Janey, pozwól, że ci przedstawię, mój były pracownik, Raoul.

Janey poczuła zapach alkoholu i przypomniała sobie, skąd zna tego mężczyznę. Pierwszego dnia, gdy pojawiła się na budowie, była świadkiem jego zwolnienia.

- Mściłeś się na Blazie za to, że cię zwolnił?

Czarne oczy patrzyły na nią z wyrazem takiej wściekłości, że aż się cofnęła.

- Byłem już zwalniany - powiedział pijackim bełkotem. - Ale jeszcze nigdy nie zastąpiła mnie kobieta. To ośmieszyło mnie przed całym środowiskiem. Nie pozwolę, by się ze mnie śmiano. Rozumiesz?

- Oczywiście, stary, rozumiemy - powiedział spokojnie Blaze.

Spojrzenia Janey i Blaze'a spotkały się. Zdziwiło ją współczucie, jakie dostrzegła we wzroku Blaze'a.

- Janey, czy mogłabyś pójść do jednego z tych domów i wezwać policję? Skinęła głową i odeszła.

Policja przybyła bardzo szybko i zabrała Raoula.

- Chodź - powiedział Blaze. - Mam trochę kawy w termosie. Musimy porozmawiać.

Nie chciała wchodzić do jego samochodu. Zbyt dobrze pamiętała, jak mało miejsca zostawiają te jego szerokie plecy.

- W wozie Jonathana jest koc. Moglibyśmy wejść do domu.

Ona poszła po koc, on po kawę, po czym weszli do domu przez tylną werandę. Janey usiadła pierwsza i poczuła się bardzo zmieszana, gdy Blaze przycupnął tuż koło niej i niedbale zarzucił im obojgu koc na ramiona.

Cholera! Czyżby nie wiedział, że właśnie jego ramion starała się uniknąć? A jednak nie odsunęła się. Było coś niezwykle miłego w takim wspólnym siedzeniu ramię w ramię, popijaniu kawy i wpatrywaniu się w rozgwieżdżone niebo.

- Przykro mi z powodu Raoula - odezwała się pierwsza.

- Tak, mnie też. Kiedy poszłaś do telefonu, rozmawiałem z nim. Powiedziałem mu, że jeśli zacznie się leczyć, sędzia może być łagodniejszy. Nie wiem, czy to do niego dotarło. Był nieźle zamroczony. Do pracy też przychodził w tym stanie.

- Muszę powiedzieć, że nieraz mnie zaskakujesz, Blazie Hamiltonie - powiedziała łagodnie.

- Wiem. Wolałabyś wierzyć, że jestem zły i zepsuty, prawda, Janey Sandstone?

Cofnęła się.

- A więc wiesz - szepnęła. - Od jak dawna?

- Od wczorajszego popołudnia. Powiedzieli mi w biurze zatrudnienia. Natychmiast doszedłem do wniosku, że to ty niszczysz moją pracę.

- Nie wygłupiaj się - powiedziała rzeczowo. - Po to, by zniszczyć twoją pracę, nie musiałabym u ciebie pracować. Po prostu wkradałabym się tu nocami, tak jak on to zrobił.

- A więc, czego chcesz, Janey? - spytał ciepłym tonem. - Dlaczego przyszłaś tu dziś wieczorem?

- Myślałam, że może ty sam niszczysz swoją pracę. Nie bardzo wiedziałam, czemu miałbyś to robić. Ubezpieczenia. Oszukiwanie właścicieli.

- Chciałaś, żebym to był ja, widzisz?

- Tak - przyznała z uniesioną głową - chciałam, żebyś to był ty.

Jej oczy zaszły łzami i odwróciła się gwałtownie.

- Blazie, widziałam, jak płaciłeś inspektorowi budowlanemu.

- Co takiego? - krzyknął.

- Widziałam, jak dawałeś mu pieniądze. Dlaczego? Co ty robisz?

- Nic nie robię, ty mała poczwarko, a już na pewno nie opłacam inspektora budowlanego. Skąd ci to przyszło do głowy.

- Jak możesz tak kłamać? - powiedziała ze smutkiem. - Wiem, co widziałam: pieniądze przechodzące z ręki do ręki.

- Pieniądze. Z ręki do ręki - powtórzył z niedowierzaniem. - Jesteś szalona. Ach nie, nie jesteś.

- Wiedziałam - dodała z satysfakcją pomieszaną ze smutkiem.

- Założyłem się z nim.

- Założyłeś się. O wynik meczu hokejowego czy coś w tym stylu, tak?

- Tak, coś w tym stylu.

- Nie wierzę, Blaze.

- Bo nie chcesz.

- No to słucham, o co był zakład?

- O to, że do czasu, jak przyjdzie na inspekcję, nie będziesz już u mnie pracowała - zrelacjonował z dużą dozą autoironii.

Wiedziała, że mówił prawdę. Wierzyła mu. Robiła wszystko, by na niego nie spojrzeć. Bała się, że ma na twarzy wypisany ból i upokorzenie. Nie pozwolił jej jednak na unik. Wyciągnął rękę i delikatnie położył pod jej brodą.

- Dlaczego chciałaś, żebym to był ja? Czy dlatego?

Wiedziała, co się szykuje. Gdyby nie była taka zmęczona, mogłaby się bronić. Ale teraz, czując dotyk jego ust, znalazła w sobie jedynie dziwną uległość.

Jego usta były ciepłe i miękkie jak letni deszczyk. Pocałunki pachniały kawą. Z początku lekkie, spadały delikatnie na jej usta, potem na koniuszek nosa, następnie znów na usta, po chwili na uszy i szyję... po czym znów na usta.

Nagle czułość znikła i mogła poczuć, jak bardzo był spragniony. Było tak, jakby pragnął jej już od dawna i teraz nie mógł się nią nasycić.

Delikatnym naleganiem zmusił jej wargi do otwarcia. Niewinna zabawa skończyła się, gdy jego język zaczął się domagać wzajemności, a jego uporczywość sprawiła, że nie miała innego wyboru, jak tylko zacząć dawać...

Cały jej, i tak słaby, opór zdawał się oddalać jak latawiec na wietrze. Odpowiadała jego ustom, jego językowi i jego pożądaniu.

Namiętne drzenie ogarnęło także jej brzuch, gdy poczuła, że jego silna dłoń wsuwa się pod sweter i gładzi jej ramiona. Czowała, jak jej skóra budzi się do życia, a serce ogarnia rzadkie uczucie spełnienia.

Z zaskakującą śmiałością wsunęła rękę pod jego bluzę. Pragnęła dotknąć jego gorącej skóry. Tej, na którą tak często patrzyła i której tak bardzo pragnęła.

Poczuła się tak, jakby na tę właśnie chwilę czekała całe swoje życie. Kiedy delikatnie odsunął ją od siebie, była zaskoczona. Spojrzała na niego zamglonym wzrokiem, nie rozumiejąc nic poza tym, że pragnie odkrywać jego ciało bez końca.

- Czy dlatego pragnęłaś, żebym to był ja, Janey? Była zagubiona. O co on pyta?

- Czy twoja największa zdrada polegała na tym, że pragnęłaś mężczyzny, który tak bardzo zranił twego ojca? Ale gdybym chociaż okazał się nieuczciwy, zepsuty, gruboskórny i pazerny, mogłabyś upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, tak? Myślałaś, że możesz zabić swe pożądanie i jednocześnie zemścić się.

Patrzyła na niego bezradnie.

- A teraz nie masz niczego.

Wypowiadając te szorstkie słowa, nadal trzymał ją w ramionach. Odsunęła go.

- Puść mnie.

Zrobił to natychmiast. Jego posłuszeństwo sprawiło jej przykrość.

- Masz rację - powiedział delikatnie. - Zanim to się stanie musisz poukładać sobie wiele rzeczy.

- To się nigdy nie stanie - powiedziała, wstając i wpatrując się w niego. - Zabiłaś mojego ojca.

- Czy on umarł, Janey? - Wstał, a szczerą troską w jego głosie omal nie złamała jej serca.

- Istnieje wiele rodzajów śmierci, a on umarł osiem lat temu. I to przez ciebie.

- Janey, ja tego nie zrobiłem. Zrobił to sam.

- Nie - krzyknęła - nie zrobił. Był silny i dobry. Był cudownym człowiekiem, a ty go zniszczyłeś. Swą zachłannością i ambicją zniszczyłeś dobrego człowieka.

- Dobry człowiek zniszczył sam siebie przez zachłanność i ambicję - poprawił ją.

Z całej siły uderzyła go dłonią w policzek. Siła uderzenia odwróciła jego głowę. Pragnęła, by jej oddał, by raz na zawsze dowiedział, że jest brutalny i bezwzględny.

Jego ręce spoczywały nieruchomo, a w oczach był niewysłowiony smutek i coś w rodzaju litości wobec niej.

Rozplakała się i odwróciła. Pozwolił jej odejść. Nic więcej nie mógł zrobić. Poza czekaniem.

Doznał nagle dziwnego uczucia, że przez całe swoje życie czekał na Janey. Odsunął tę myśl. Przypomniawszy sobie jej kłamstwo i fakt, że pragnęła go zniszczyć. Wystarczało, że ma z nią do czynienia na gruncie zawodowym. Powinien dziękować Bogu, że nie włączył jej do swego życia prywatnego.

Na myśl o tym przypomniał sobie o Melanie. Będzie musiał z nią porozmawiać.

Janey zatrzymała samochód przed domem i wysiadła. We wszystkich oknach paliły się światła.

Wzięła głęboki oddech i podeszła do drzwi. Jeden brat, drugi brat, trzeci brat oraz jeden Jonathan, policzyła obecnych.

- Co tu się dzieje?

- Janey! - krzyknęło naraz czterech mężczyzn. Natychmiast otoczyli ją, zasypując pytaniami i podnosząc głosy, aż powstała trudna do opisanego wrzawa.

- Zamknijcie się - wrzasnęła wreszcie. Opadła na krzesło kuchenne. - Co tu się dzieje?

- Janey - wyjaśnił Jonathan. - Około północy przejeżdżałem tędy, zauważyłem że nikogo nie ma i przypomniałem sobie o tej dziwnej sprawie z pożyczaniem samochodu... i... gdzie do diabła byłaś?

- Nie twoja sprawa - powiedziała. - Ani żadnego z was. Jestem dorosłą kobietą i wasze zachowanie jest dla mnie niepojęte.

- Martwiliśmy się o ciebie, Janey - powiedział najmłodszy z braci. - To chyba nie jest przestępstwo, prawda? Zwykle nie przebywasz poza domem w środku nocy.

- Wyjechałam. Mogłam być u chorego przyjaciela. Mogłam zdecydować, że chcę zrobić sobie w weekend wakacje. Mogłam także robić zakupy w sklepie całodobowym.

- Ale nie to robiłaś, prawda? - spytał delikatnie Jonathan. - Byłaś z nim, tak?

- Och, Jonathan, to długa historia i nie taka, jak przypuszczasz.

- Byłaś z nim - powtórzył Jonathan zimno.

- Niezupełnie. To znaczy, nie planowałam spędzenia z nim czasu.

Miała wrażenie, że jej usta jarzą się i migają jak neon. Pocałował mnie, pocałował mnie, powtarzała w myślach. Poczula, że łzy napływają jej do oczu,

- No dobra, chłopaki - przejął dowodzenie najstarszy brat, Simon. - Janey jest bezpieczna. I zmęczona. Uciekamy. Jeśli będzie chciała, opowie nam o swojej przygodzie jutro.

Udało mu się wyprowadzić wszystkich trzech obrońców na dwór.

Zamknęła oczy, ale kiedy je otworzyła, zobaczyła, że Simon jeszcze nie wyszedł.

- Wiedziałaś, że to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

- Janey, chcę wiedzieć, dlaczego pracujesz dla Blaze'a Hamiltona. - Usiadł naprzeciwko.

- Nie dlatego, że jestem nielojalna, jak pewnie uważasz - mruknęła.

- Dlaczego miałyby to być nielojalne? - spytał poważnie.

- Daj spokój, Simon. Od razu poznałeś to nazwisko. Wiesz, kto to jest.

- Tak, chyba najlepszy budowniczy w tym rejonie.

- Nie to miałam na myśli.

- A co, Janey?

- Blaze Hamilton zniszczył tatusia. Nigdy mu tego nie zapomniałam, nawet jeśli ty to zrobiłeś.

- Tego się obawiałem - powiedział Simon znużonym głosem.

- Co to znaczy? - spytała zaczepnie.

- Janey, zawsze idealizowałaś ojca. To zrozumiałe u szesnastolatki, ale może przyszedł czas, by spojrzeć prawdzie w oczy.

- Nie chcę tego słuchać - powiedziała stanowczo. - Wyjdź.

- A więc już się domyślasz, tak? W głębi serca dokładnie wiesz, co mam do powiedzenia, czy tak?

- Przestań, Simon.

- Nie chcę, żebyś próbowała zemścić się na Blazie. Zwłaszcza w oparciu o fałszywe przekonania, które od dawna w sobie pielęgnujesz.

- Simon...

- To nie Blaze przyczynił się do upadku ojca, Janey. Tylko ty jedna o tym nie wiedziałaś.

- Jeśli się nie zamkniesz, nigdy więcej nie będę z tobą rozmawiała.

- Złapał go. Przyłapał naszego staruszka na fuszerce i zrobił to, co musiał zrobić. Ojciec o mało go nie zrujnował.

- Kłamiesz.

- Janey, nie mówię, że tata był złym człowiekiem. Ale wyrastał w nędzy i miał zakodowane przekonanie, że tylko pieniądze się liczą. Rzeczy, posiadanie. Chciał, żebyś mogła chodzić z wysoko podniesioną głową, co jemu nigdy nie było dane. To była jego obsesja. I, tak jak wiele obsesji, doprowadziło do

tragedii. Myślę, że Blaze zawsze czuł się źle z tego powodu. To dobry człowiek, Janey. Sądzę, że w głębi serca doskonale o tym wiesz, prawda?

- Kocham Jonathana.

- Dziwne, że to mówisz, bo przecież wcale nie powiedziałem, że go nie kochasz. Jednak zawsze miałem pewne wątpliwości co do ciebie i Jonathana. Nie jestem pewien, czy ojciec nie wpoił ci czasem marzeń, które właśnie Jonathan mógłby zrealizować. Ale czy to są na pewno twoje marzenia?

- Naprawdę go kocham! Brat westchnął.

- Jesteś zmęczona, kochanie. Idź do łóżka. Odpocznij. Rano wszystko będzie wyglądało lepiej.

- Nigdy nie uwierzę w to, co powiedziałaś o tatusiu. Nigdy.

- Nie? Może uwierzyłabyś jemu samemu? Czemu nie spytasz ojca o Sandcastle i o Blaze'a Hamiltona?

Simon wstał. Duży, silny mężczyzna, który zawsze miał wszystko dokładnie uporządkowane.

- Dobranoc, Janey - czule pocałował ją w czoło. Wiedziała, że reszta nocy nie zapowiada się wesoło.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Janey wstawiła do wazonu przyniesione przez siebie kwiaty.

- Chodź, usiądź tutaj na brzegu łóżka - szepnął. - Wyglądasz na zmęczoną. Powiedz tacie, co cię gnębi.

Odwróciła się i uśmiechnęła. Nigdy nie umiała niczego przed nim ukryć.

- Tatusiu - powiedziała wolno - opowiedz mi o Blazie Hamiltonie, Jego oczy rozszerzyły się na chwilę, po czym spojrzał ponad nią, na szpitalne okno.

- Nie musisz - dodała szybko. - To znaczy, jeśli cię to denerwuje.

- Nie - odparł powoli. - Chcę ci powiedzieć. Muszę tylko przez chwilę zebrać myśli. - Zaczerpnął głęboki oddech. - Janey, oczerniłem przed tobą niewinnego człowieka. Najwyższy czas, by to wyjaśnić. Niedługo umrę, wiesz o tym.

- Tato, nie mów w ten sposób.

- Zastanawiam się, czy nie na tę właśnie chwilę czekałem - dodał. - Na możliwość naprawienia zła. Janey, w sprawie Sandcastle to nie była wina Blaze'a Hamiltona. To była moja wina. Byłem pazerny oraz chciwy i tak bardzo chciałem być miejscowym bohaterem. Ale zadanie okazało się zbyt trudne i kiedy zaczęły się kłopoty, zepsułem końcową fazę robót. Blaze złapał mnie na gorącym uczynku.

- Ależ, tatusiu, zawsze powtarzałeś, że to jego wina.

- Tylko tobie, Janey - odparł miękko, patrząc na nią z uwielbieniem. - Matka i chłopcy znali prawdę, ale dla ciebie byłem bohaterem. I lubiłem to. Nie chciałem, żebyś wiedziała, że oszukiwałem i narażałem ludzi na niebezpieczeństwo. Byłem skompromitowany, ale nadal chciałem być twoim idolem. Czy to nie śmieszne jak na dorosłego mężczyznę? Oskarżałem Blaze'a, by wciąż widzieć ten promień w twoich oczach.

Uśmiechnęła się przez łzy.

- To nie ma znaczenia. Zawsze będziesz moim bohaterem.
- Wiesz, Janey, cieszę się, że Blaze mnie złapał.
- Co takiego?
- Inaczej spędziłbym ostatnie lata życia, wiedząc o swoim złym postępku.

Może na zewnątrz uchodziłbym za człowieka sukcesu, ale w środku czułbym winę i wstyd. A tak idę na spotkanie z Bogiem z czystym sumieniem. Mogę stanąć przed nim i powiedzieć: Sam Sandstone przybył. - Przerwał otwierając oczy. - Ale dlaczego nagle spytałaś mnie o Blaze'a?

Z wahaniem opowiedziała mu o swoich planach zemsty.

Gdy skończyła, ojciec się roześmiał. Jego śmiech miał cudowne brzmienie, był głośny i jowialny jak niegdyś.

- Janey, czy widzisz jak cudowne jest życie, ile cudownej ironii z sobą niesie? Zjawiłaś się tam, by go znienawidzić, a tymczasem...

- Tato?

Jego oczy przybrały nagle inny wyraz. Usłyszała także zmianę w jego głosie.

- W całym tym życiu jest tylko jedna rzecz, w którą warto włożyć całą duszę i serce, Janey. Tylko jedna rzecz, którą warto mieć.

Zmiany następowały teraz szybko. Jego dusza ulatywała. Czowała to wiedząc, że jest wobec tego równie bezradna, jak wobec zmieniających się pór roku.

- To miłość - szepnął, a na jego twarzy pojawił się niesamowity uśmiech, rozjaśniający jego oczy światłem, jakiego nigdy nie widziała. - Miłość - dodał, jakby kogoś pozdrawiając. - Przybywa Sam Sandstone.

Światło jego oczu zgasło. Ojciec nie żył.

W parę godzin później była wycieńczona bolesnymi telefonami. Czowała jakby zaćmienie umysłu, a żal rozsadzał jej piersi.

A jednak był przecież jeszcze jeden telefon, który musiała wykonać. Po to, by przeprosić. Ale przecież chodziło o coś więcej.

Potrzebowała go teraz jak nigdy dotąd w całym swoim życiu. Nie miała siły pytać samej siebie, dlaczego właśnie jego. Po prostu wiedziała.

Wolno wykręciła numer, czekając na jego głos, jak tonący oczekujący pomocy.

- Halo? - głos w słuchawce był zdyszany i bardzo kobiecy.

- Czy jest Blaze? - Starła się mówić spokojnie, skrywając rozpaczliwą potrzebę.

- Tak, ale śpi. Czy coś mu przekazać?

- Nie. Tak. Proszę mu powiedzieć, że dzwoniła Janey. W mojej rodzinie ktoś umarł. Nie mogę przyjść w poniedziałek do pracy,

Będzie wiedział, pomyślała. Domyśli się, że chodzi o ojca i zrozumie, jak bardzo go potrzebuje. Na pewno niedługo się zjawi. Pełna ulgi odłożyła słuchawkę. Już niedługo go zobaczy.

- Cześć, Mel - Blaze wyszedł z sypialni bosy i bez koszuli. Przeciągnął się.

- Nie lubię, gdy mnie tak nazywasz - powiedziała chłodno.

- Daj spokój. Właśnie wstałem. Kiedy przyszedłeś?

- Parę minut temu. Zwykle nie sypiasz w dzień - spytała podejrzliwie. - Miałeś trudną noc?

- Tak. Znalazłem faceta, który rozrabiał na budowie.

- Och! - W jej głosie wyczuwało się ulgę.

- Melanie, musimy porozmawiać.

- Och, kochanie. Nie podoba mi się sposób, w jaki to powiedziałaś.

- Melanie, lubię cię. Spędziliśmy ze sobą cudowne chwile.

- Nie mów nic więcej. Proszę.

- Przykro mi - powiedział delikatnie.

- To ona, tak? Nie odpowiedział.

- No cóż, robiłam sobie wielkie nadzieje - dodała.

- Nic nas nie łączy - powiedział delikatnie. - Staraliśmy się odnaleźć wspólny grunt, ale nie udało nam się. Jestem prostym facetem. Lubię dzinsy, ciężarówkę i hamburgery. Lubię słońce, pot i zapach pyłu drzewnego.

- To prawda, jesteśmy bardzo różni - zgodziła się. Jej wzrok spoczął na wiszących nad łóżkiem obrazach. - Te obrazy są tego przykładem. Nigdy ich specjalnie nie lubiłeś, prawda?

- Nie są w moim stylu, Melanie.

- Czy sądzisz...? - Nie dokończyła.

- Oczywiście. Weź je.

- Dzięki. Mam nadzieję, że zawsze będziemy przyjaciółmi, Blaze. Muszę już iść.

Zdjął obrazy z wieszaków i zaniósł do jej samochodu. Nie płakała. Czy wiedziała, że gdyby, czując ból, umiała płakać, to być może ich związek by się nie rozpadł?

- Prawie zapomniałam. Był do ciebie telefon.

- No właśnie. Miałem zapytać. Ten telefon mnie obudził.

- To tylko akwizytor. Chciał sprzedać tygodniki czy coś takiego.

- Nie mam czasu na tygodniki.

- Tak pomyślałam - odparła i odjechała.

- Gdzie się ta mała do diabła podziewa? Już prawie ósma.

Mówił do siebie, co nigdy przedtem mu się nie zdarzało.

- Gdzie ona jest? - rzucił w przestrzeń.

- Masz na myśli Janey? - spytał przechodzący właśnie Clarence.

- Czy mamy tu jakieś inne kobiety? - wypalił.

- Mabel mówiła, że jej ojciec zmarł w czasie weekendu. Biedna mała.

Blaze poczuł, że serce zamiera mu w piersi.

Potrzebowała go.

O, na pewno, pomyślał z ironią, przecież prawie oskarżyła go o osobiste zamordowanie ojca.

A jednak nie mógł się powstrzymać przed pójściem do niej. Pragnął trzymać ją w ramionach tak długo, jak tylko będzie tego potrzebowała.

Biegł w stronę ciężarówki.

- Jonathanie, dziękuję, że tu jesteś. Tak bardzo podtrzymywałeś mnie na duchu. - Zaczerpnęła powietrza. - Tym trudniej powiedzieć mi to, co muszę ci powiedzieć. Myślę, że już wiesz, że nie możemy się pobrać, prawda? - spytała delikatnie.

- Oczywiście, wiem, że musimy poczekać, aż minie okres żałoby.

- Nie to miałam na myśli - powiedziała uprzejmie.

- Och! - Jonathan milczał przez chwilę. - To o niego chodzi, tak? - spytał wreszcie.

Tak, o niego, odparła w myślach. O tego, który nie przyszedł. O tego, do którego zadzwoniła w trudnej chwili, a on się nie zjawił.

- Nie, Jonathanie, nie o niego. Chodzi o nas. Jesteśmy zbyt różni. Chcemy od życia zupełnie innych rzeczy.

- Jak to?

- Chcę miłości - powiedziała, pamiętając słowa ojca. - Ty chcesz prestiżu i pieniędzy oraz tego wszystkiego, co można za nie kupić.

- Nie jestem aż tak powierzchowny - powiedział sztywno.

- Jonathanie, proszę, uwierz mi, że nie chciałam cię oceniać. Mówiłam tylko, że jesteśmy zupełnie różni, co szczególnie uwidoczniło się w ciągu ostatnich kilku tygodni.

- Od czasu, gdy zjawił się on - powiedział Jonathan z naciskiem.

- Jego już pewnie nigdy nie zobaczę - powiedziała bezradnie i łzy napłynęły jej do oczu.

- Janey, to dla ciebie naprawdę zła chwila na podejmowanie takich decyzji. Poczekać parę tygodni. Miesiąc.

- Nie. - To będzie jej ostatni prezent dla ojca: wierność własnemu sercu.

- W każdym razie chciałbym być twoim przyjacielem.

- Dziękuję. - Zamknęła oczy. - Jestem taka zmęczona. Wezmę prysznic i pójde do łóżka.

- Zrób to. Ja zajmę się tymi kwiatami, a potem sobie pójde.

Blaze zatrzymał wóz przed jej domem. Wbiegł po schodach na górę, ale nie zdążył zapukać. Jej narzeczony, dentysta, wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Dowiedziałem się właśnie o ojcu Janey. Chcę z nią porozmawiać.

- Ona nie chce z tobą rozmawiać. Sądzę, że w obliczu tak dramatycznych okoliczności należałoby uszanować jej wolę, prawda?

Blaze zdał sobie sprawę, że rozmawia z narzeczonym Janey. Ze smutkiem uświadomił sobie, że przywiodło go tutaj jakieś mylne przeświadczenie, że to on sam jest jej... narzeczonym.

A przecież to nie on miał prawo obejmować ją i pocieszać, nie jego imię wymawiała, gdy była w potrzebie.

- Czy możesz jej tylko przekazać, że przyszedłem złożyć wyrazy współczucia?

Gdyby spojrział teraz na Jonathana Petersa, wiedziałby, że Janey nigdy nie usłyszy tych słów. Blaze jednak szybko odwrócił się i odszedł z przekonaniem, że rozmawiał właśnie z najszcześliwszym mężczyzną na świecie.

- Janey, sądę, że powinnaś wrócić do pracy.

- Nie jestem jeszcze gotowa na szukanie pracy. - Odwróciła się do Mabel tyłem, koncentrując się na dolewaniu wody do czajnika.

- Nie masz pracy? - Mabel miała przepiękny głos. Zupełnie nie pasował do jej wyglądu.

- Nie, nie mam pracy.

- Clarence twierdzi co innego. Uważa, że Blaze przyjmie cię w każdej chwili.

- Gdy widziałam go po raz ostatni, uderzyłam go w twarz tak mocno, jak tylko umiałam. Czy to nie wystarczy?

- Czemu więc go nie przeprosisz? Oczy Janey zaszyły mgiełką.
- Nie przekazał mi nawet wyrazów współczucia z powodu ojca.
- Och, Janey, znasz mężczyzn. Nigdy nie wiedzą, co powiedzieć w takich sytuacjach. Uważam, że w sumie Blaze jest cudownym mężczyzną.

- Skąd o tym wiesz?
- Clarence i ja jedliśmy z nim wczoraj kolację. Mieliśmy do niego prośbę.
- I podobał ci się?
- Bardzo, pomijając już jego rewelacyjny wygląd, to wydaje się taki normalny i rzeczywisty. Choć wyglądał na bardzo zmęczonego i smutnego. Tak jak ty.

- Blaze tak wyglądał? - nie udało jej się ukryć przejęcia.
- Janey - przyjaciółka spytała ją delikatnie - czy ty go kochasz?
- Tak - przyznała Janey po chwili.
- No i co zamierzasz z tym zrobić?
- Nic. Starać się uratować swoją godność.
- Ale dlaczego?
- Bo on ma kobietę. Bo nie odwzajemnia moich uczuć. Bo nie mógł mi nawet powiedzieć, że jest mu przykro z powodu ojca.

- A więc duma jest dla ciebie ważniejsza od miłości, tak?
Te słowa bolały. Było tak, jakby zdradziła ostatnią wolę ojca.
- Mabel, po prostu nie wiem, co zrobić. Jestem zmieszana i zagubiona.
- To tym bardziej mu powiedz.

- Nie mogę.
- Dlaczego?
- Czemu miałby mnie pokochać? Mam budowę chłopca, jestem kłótniwa, wolę wykonywać męskie prace niż kobiece.

- To nieprawda. Jesteś bardzo kobieca. A on może przecież cię kochać za twoją dobroć i słodycz. Za twoją niezależność i poczucie humoru, za twoją duszę, mądrość i milion innych rzeczy.

- Mabel, jesteś cudowna. Ale na razie nie mam na to siły.
- Czuję się winna, że jestem taka szczęśliwa.
- No, trudno to ukryć, Mabel. Cała promieniejesz.
- To Clarence. Nie wiem, jak ci za niego dziękować. To głównie dlatego dziś do ciebie wpadłam. Chcę cię także prosić o wielką przysługę.

- Co tylko zechcesz.
- Clarence i ja zamierzamy się pobrać w grudniu. Chcę, żebyś była świadkiem.

- Ja?
- Przecież przedstawiłaś nas sobie. Zawsze byłaś moją najlepszą przyjaciółką, a teraz jesteś także przyjaciółką Clarence'a. Proszę, powiedz tak.

- Dobrze - zgodziła się. - Czy Blaze też tam będzie?
- Oczywiście - powiedziała Mabel niewinnym głosem. - Będzie drużbą Clarence'a.

- Nie jestem gotowa, by się z nim spotkać.
- Jeśli jeszcze za miesiąc też nie będziesz gotowa na to spotkanie, to znaczy, że coś naprawdę musisz z tym fantem zrobić. A może okaże się, że nie nie czujesz na jego widok?

Mało prawdopodobne.

- Pewnie masz rację.

Pomyślała nagle, jak żałośnie będzie wyglądała na tym weselu. To przecież ona miała brać ślub w grudniu. A tak będzie tam bez narzeczonego, bez pracy, z wyrazem cierpienia na twarzy.

Zaczęła się zastanawiać, czy oferta przyjaźni ze strony Jonathana obejmowałaby także dotrzymanie jej towarzystwa w czasie ceremonii i udawanie, że ich zaręczyny są nadal aktualne.

Westchnęła. Udawanie szło jej zawsze bardzo kiepsko.

A jednak warto było spróbować.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Janey weszła do kościoła. Nie przyzwyczajona do wyjściowych, powłóczystych szat, cały czas modliła się, by nie nadebrać na brzeg długiej jasnożółtej sukni. Gdy jednak ujrzała Blaze'a, cudem uniknęła wywrotki.

Stał w czarnym wieczorowym garniturze, czekając na rozpoczęcie ceremonii. Wyglądał rewelacyjnie.

Minęły dwa długie miesiące. Miała nadzieję, że może idealizowała przez ten czas siłę, z jaką przyciągał ją do siebie.

Niestety, nie była to prawda. Ich spojrzenia spotkały się i ogarnęło ją przedziwne uczucie. W jego błękitnych oczach dostrzegła ciepłe powitanie i coś w rodzaju zachęty. Przez chwilę wyobraziła sobie, że idzie ku niemu, by złożyć przed ołtarzem przysięgę dozgonnej miłości.

Postanowiła skupić swe myśli na panu młodym. Zamglonym, przepełnionym miłością wzrokiem obserwował Mabel, która zbliżała się do niego szeleszcząc jedwabną suknią.

Łzy wzruszenia spłynęły po policzkach Janey i głośno westchnęła. Czowała na sobie pełne zaciekawienia spojrzenie Blaze'a. Uniosła głowę do góry, starając się nadać swej twarzy nieporuszony, dumny wyraz.

Clarence i Mabel złożyli przysięgi. Miłość uczyniła z nich najpiękniejszą parę na świecie. Janey nieudolnie panowała nad szlochem. Kiedy pastor ogłosił młodą parę mężem i żoną, w pośpiechu wyciągnęła chusteczkę, by otrzeć załamioną twarz, nim zwróci ją w kierunku Blaze'a.

Spróbowała obdarzyć go najpiękniejszym ze swych uśmiechów. On zaś zapraszającym gestem zaoferował jej ramię.

Wolałaby raczej umrzeć. Nie zrażony, podszedł do niej i sam wziął ją za rękę. Bała się, że zauważy jej drzenie.

W irytującym geście pokrzepienia poklepał ją po ramieniu.

- Mógłbym przysiąc, że przez całą uroczystość płakałaś - powiedział półgłosem. - Czy zawsze podchodzisz do ślubów tak emocjonalnie, czy też jest tak dopiero od czasu, gdy twój własny został odwołany?

- Widzę, że nadal jesteś zwolennikiem treningu wrażliwości - odparła równie cicho. - Jeśli chcesz wiedzieć, to nie uważam ślubów za szczególnie poruszające wydarzenia.

- To ciekawe, dlaczego dzięki tobie wzrósł nagle popyt na chusteczki higieniczne?

- Kobiety miewają takie chwile w każdym miesiącu - wypaliła nie zrażona.

Stłumił śmiech.

- Twoje siostry feministki spaliłyby cię za tę wypowiedź na stosie, panno Sandstone.

- Dołącz do nich, panie Hamilton.

Wychodząc z kościoła, przeszli obok Jonathana, któremu Janey pomachała na powitanie.

- A cóż on tutaj robi? - padło pytanie.

- Jest ze mną.

- Co? Clarence powiedział mi, że twoje zaręczyny zostały zerwane. - Umilkł pośpiesznie, wściekły, że i tak okazał zbyt wielkie zainteresowanie.

Nie uzyskał odpowiedzi, bo wzrok obojga spoczął teraz na wysiadającej z wozu Melanie.

- Jak zwykle spóźniona - mruknął Blaze, a Janey zeszywniała, słysząc w jego głosie nutę życzliwości. Melanie wyglądała wspaniale. Pomachała do Blaze'a i zrobiła kilka zdjęć.

- Wyglądasz cudownie, kochanie - powiedziała podchodząc. - Zawsze wiedziałam, że masz w sobie zadatki na eleganckiego mężczyznę.

- Czy poznałaś już Janey Sandstone?

- Obawiam się, że nie miałam jeszcze przyjemności - odparła Melanie mocno przesłodzonym głosem.

- Rozmawialiśmy tylko przez telefon - przypomniała jej Janey. - Miło cię poznać.

- Rozmawialiście przez telefon? - zainteresował się Blaze. - Kiedy to było?

- Och, wieki temu - pospieszyła z odpowiedzią Melanie.

Nagle jej oczy zwęziły się w odruchu zainteresowania, którym przypominała panterę na polowaniu. Jej celem był Jonathan! Wyglądał tego dnia oszałamiająco. Zawsze umiał się ubrać.

- To narzeczony Janey - wyjaśnił Blaze.

- Przyjaciel - skorygowała Janey.

Jonathan podszedł i złożył platoniczny pocałunek na czubku nosa Janey.

- Sądzę, że będziecie teraz zajęci tymi wszystkimi ślubnymi obowiązkami. Musicie ustawić się do zdjęć i... - przerwał, gdyż na widok Melanie najwyraźniej zaparło mu dech w piersiach - ...i zrobić te inne rzeczy - dokończył nieśmiało.

- Jonathanie, to jest Blaze'a... - Janey rzuciła Blaze'owi bezradne spojrzenie.

- Przyjaciółka - pospieszył z pomocą.

- Melanie, to Jonathan Peters.

- Doktor Jonathan Peters - uzupełnił Blaze. - Proponuję, byście z doktorem Petersem dotrzymali sobie towarzystwa, a my wypełnimy nasze powinności świadków.

- Wspaniale - powiedział zachwycony Jonathan.

- Doktor? - zapiała Melanie i nie tracąc czasu uwiesiła się Jonathanowi na ramieniu.

Blaze rzucił Janey rozbawione spojrzenie.

- Ten facet nigdy się z tobą nie ożeni - powiedział, otwierając drzwiczki limuzyny państwa młodych. - Dobrze, że nie pada - dodał z szelmowskim uśmiechem. - Z tak wysoko podniesionym nosem mogłabyś utonąć.

- Przestań mi dokuczać z powodu moich zerwanych zaręczyn. Jestem na tym punkcie przewrażliwiona.

- Zwłaszcza o tej porze i w tym miesiącu? - dodał dokuczliwie.

- Hej, wy, przestańcie natychmiast - skarciła ich Mabel. - Swoimi kwaśnymi minami zepsujecie zdjęcia.

Jakimś cudem Janey zdobyła się na uśmiech. Czowała się już bardzo zmęczona wewnętrzną walką o to, by nie okazać Blaze'owi wrażenia, jakie na niej wywierał. Po skończonym seansie fotograficznym wymknęła się do małego ogródka.

Ucieczka okazała się bezcelowa.

- Zostawisz mnie w spokoju? - zaatakowała.

- Dlaczego?

- Bo mam dosyć twojej słoniowatej wrażliwości. Doprowadzasz mnie do szału.

- Naprawdę? A czemuż to, Janey, kaczeńcu?

Zamknęła oczy.

Nieraz w snach widziała ich razem, leżących na kocu na pokrytej kaczeńcami łące. W tych snach dotykał jej włosów i z taką właśnie czułością nazywał kaczeńcem...

- Czy on też w taki sposób doprowadzał cię do szału? - spytał delikatnie. - Czy jego obraz też nie opuszczał cię ani na chwilę, czy czułaś jak pod jego spojrzeniem topnieje twoje serce i czy kiedykolwiek dzieliliście wspólnie tak bezgraniczną namiętność jak nasza?

- Moje uczucia wobec Jonathana nie mają granic. Moje zaręczyny są na zawsze. I, dla twojej informacji, ślub został odwołany z powodu śmierci mojego ojca.

Ton jego głosu zmienił się.

- Janey, było mi tak ogromnie przykro z tego powodu. Nie mogłem powiedzieć ci tego osobiście.

Mówił dokładnie tak, jak tego oczekiwała tamtego wieczora. Odwróciła się gwałtownie.

- Wystarczyłoby nie osobiście - mruknęła.

- Co takiego?

- Nic ważnego.

- Czy mógłbym cię uściskać? - spytał miękko. Stał tuż za nią, zdecydowanie zbyt blisko.

- Nie. Za późno. Potrzebowałam cię wtedy, nie teraz!

- Potrzebowałaś mnie?

- A jak myślisz, po co dzwoniłam? Tylko po to, by ci powiedzieć, że nie będzie mnie w pracy? Zresztą wiem, że nie powinnam była dzwonić. Przecież to niewłaściwe wzywać na pomoc mężczyznę, który już jest zajęty, prawda?

- Zajęty?

- No tak - powtórzyła. - Przez twoją przepiękną narzeczoną.

- Melanie nie jest już moją narzeczoną. . Janey otworzyła szeroko oczy.

- Nie jest?

- Nie. Kiedy do mnie dzwoniłaś, Janey? Zacisnęła dłonie w pięści.

- Zadzwoiłam, kiedy umarł ojciec. Sądziłam, że zrozumiesz. Czego oczekiwałaś? Że będę cię błagać?

- Zadzwoiłaś i co? Nie było mnie w domu? Było zajęte?

- Nie. Odebrała Melanie. Powiedziała, że przekaże ci wiadomość.

Na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz wściekłości połączonej z bólem.

- Nie zrobiła tego, Janey. Musisz mi uwierzyć.

- A jeśli nawet, to na co czekałaś? Na pisemne zaproszenie? Przecież Clarence na pewno powiedział ci, co się stało.

- I owszem, powiedział mi - odparł Blaze z pociemniałą od gniewu twarzą. - Od razu pojechałem do ciebie. Czułem, że mnie potrzebujesz.

- Naprawdę? - szepnęła. - I przyjechałeś, mimo że nadal należałeś do Melanie?

- Nigdy do niej nie należałem. Rozstaliśmy się tego dnia, gdy złapaliśmy na budowie Raoula.

- To właśnie w tym dniu zmarł ojciec.

- A więc wszystko zaczyna się układać. W poniedziałek Clarence powiedział mi, dlaczego nie ma cię w pracy. Natychmiast pojechałem do ciebie do domu. Niestety, na schodach spotkałem Jonathana i zamiast głosu własnego serca posłuchałem jego słów. - Wyraz twarzy Blaze'a nie wróżył Jonathanowi wiele dobrego.

- Przyjechałeś? - raz jeszcze spytała z niedowierzaniem.

- Tak.

- No, dobra - podszedł do nich Clarence. - Chodźcie na przyjęcie.

- Przestaliście już się kłócić? - wtrąciła się Mabel. Żadne z nich nie odpowiedziało.

W czasie kolacji Janey siedziała po prawej stronie Mabel i od Blaze'a Hamiltona dzieliła ją odległość dwóch potężnych osób, którymi byli państwo młodzi. Dzięki Bogu. Może uda się jej pozbierać rozproszone myśli.

Popatrzyła na zebranych. Melanie i Jonathan siedzieli razem zatopieni w rozmowie. Policzki Melanie błyszczwały szczęściem, a oczy Jonathana pożądaniem.

Ledwo rozpoczęty posiłek przerwany został rytmicznym uderzaniem dwustu srebrnych łyżeczek o brzeg szklaneczek do wina.

Chichocząc, państwo młodzi wstali i, ku uciesze zebranych, wymienili tradycyjny pocałunek. Po niespełna pięciu minutach brzęk łyżeczek odezwał się ponownie.

- Teraz wasza kolej - poinformowała bez troski Mabel.

- Co takiego? - Janey siedziała jak zamurowana.

- Teraz ty i Blaze. Czeka to wszystkich po kolei.

Poczuła jego dłoń na ramieniu.

Zerknęła na niego błagalnym wzrokiem. Spodziewała się ujrzeć znane jej już, rozbawione spojrzenie. Tymczasem zaskoczył ją wyraz głodu i pożądania, który nadawał jego oczom odcień szafiru.

Powoli odsunęła krzesło i wstała. Popatrzył na nią przeciągłym, trudnym do wytrzymania spojrzeniem i zaczął ją całować. Z tłumu dochodziły okrzyki szczerzego uznania.

Była zbyt zmieszana, by się bronić. Oddała mu się we władanie, pozwoliła poprowadzić do miejsca, które dotąd nie było jej znane.

Wreszcie świadomość, że patrzy na nich dwieście osób, zwyciężyła. Oderwała się od niego, ale widok jego zmysłowego uśmiechu sprawił, że pożądanie płonęło w niej nadal.

Powiodła spojrzeniem za jego wzrokiem i popatrzyła na Jonathana i Melanie.

Poczuła się zdruzgotana. A więc długość i namiętność tego pocałunku były jedynie zemstą wymierzoną w tych dwoje?

Jonathan i Melanie byli tak pochłonięci rozmową, że chyba w ogóle nie zauważyli, co się działo.

Blaze roześmiał się. Spojrzał na Janey.

- Życie samo niesie swoje nagrody i kary, prawda? Oto dwoje ludzi, którzy zasługują na siebie nawzajem.

Z trudem panując nad drżeniem kolan usiadła z powrotem do kolacji.

Wkrótce nastąpiły przemówienia i toasty, po czym odstawiono stoły, by zrobić miejsce do tańca.

Blaze podszedł do Janey.

- Czy mówiłem ci już, że wyglądasz wspaniale?

- Nie, ale dziękuję.

- Wolę cię w dzinsach. Ja ciebie też, pomyślała.

- Myślę, że spełniliśmy swój przyjacielski obowiązek - powiedziała nerwowo. - Najlepiej będzie, jak każde z nas pójdzie teraz w swoją stronę. - Nie ruszył się z miejsca. - Dobrze?

- Zdaje się, że musimy jeszcze wziąć udział w pierwszym tańcu.

- Och!

Światła przygasały i salę wypełniła niezwykle romantyczna muzyka. Clarence podał ramię Mabel. Tych dwoje, zwykle ciężkich i powolnych ludzi, sprawiało teraz wrażenie bajkowej, księżęcej pary, wpatrzonych w siebie z wyrazem bezgranicznej miłości.

Nie kontrolowane łzy radości spłynęły po policzkach pana młodego.

Janey zobaczyła, jak Blaze podejrzanym ruchem przeciera okolice swych oczu. Kiedy jednak zwrócił się w jej stronę, jego wzrok był równie przejrzysty i nieprzenikniony co zwykle.

- Kolej na nas - powiedział, wyciągając rękę w jej stronę.

W tańcu z Blaze'em zrozumiała, jak muszą się czuć Clarence i Mabel. Dla niej samej cały świat przestał istnieć. Liczył się tylko on, jego wzrok, który zdawał się oświetlać przed nią drogę wyjścia z tunelu samotności, jego ramiona, przepelniające jej serce ciepłem, którego braku nie była dotąd świadoma.

- Wyjdź za mnie - szepnął.

- Co? - Zatrzymała się. Ludzie odwrócili się i zaczęli im się przyglądać. Ściszyła głos. - Nie opowiadaj bzdur.

Poczuła przyspieszone bicie serca. Znowu jakiś żart? Kolejny dowód kompletnego braku wrażliwości? Czy może, pod wpływem romantycznej atmosfery ślubu, mówi coś, czego już po chwili zaczniesz żałować?

Pragnęła mu uwierzyć. Jednocześnie jednak wiedziała, że gdyby te słowa okazały się żartem, zabiłoby ją to.

Odwróciła się i rozejrzała po sali.

- Gdzie jest Jonathan? Muszę go znaleźć. To z nim tutaj przyszedłem.

Blaze wyglądał na lekko zirytowanego, ale uśmiechnął się z wyrozumiałą cierpliwością.

- Czy nie lepiej wyjść za mnie? - spytał, odprowadzając ją do stolika, gdzie siedzieli Jonathan z Melanie.

- Prawie się nie znamy - powiedziała półgłosem, uśmiechając się do Melanie. - Nie znam nawet twojego prawdziwego imienia - dodała półszepetem.

- Mówimy właśnie o wymarzonych wakacjach - wyjaśniła Melanie. - Posłuchajcie tylko.

Janey nie mogła skupić się na rozmowie. Spojrzała na Blaze'a, który ironicznie wywracał oczami, słuchając wywodów Melanie na temat Riwiery.

- Dla mnie osobiście - powiedział Blaze - wymarzone wakacje to strzelba, koń, płomień ogniska i ktoś, kto chce wraz ze mną wpatrywać się w gwiazdy.

Uśmiech, jakim Jonathan skwitował te słowa, nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości, iż uważa Blaze'a za kompletnego kretyna.

- A ty, Janey? - spytał miękko Blaze. - Paryż czy jednoosobowy śpiwór z dwoma osobami w środku?

- Nie wiem - powiedziała gwałtownie.

- W ten sposób nie poznamy się lepiej - skarcił ją delikatnie.

- Och, Janey uwielbia namioty, ogniska i tego typu rozrywki - powiedział Jonathan. - Pamiętasz, jak chciałaś mnie kiedyś namówić na trzydniową wędrowną po górach?

- Trzy dni? - spytała Melanie z niedowierzaniem.

- Bez prysznic?

Blaze posłał Janey ten leniwy zmysłowy uśmiech, który tak bardzo wytrącał ją z równowagi.

- Na imię mam Blair - powiedział cicho - i nie mów mi, że cię nie znam.

- Nie, nie znasz.

Wstała od stolika i szybkim krokiem wyszła na patio. Zatrzymała się, by zaczerpnąć orzeźwiającego grudniowego powietrza.

- Wyjdź za mnie. Omal nie podskoczyła.
- Czy ty się upiłeś?
- Nie piję. Możesz to zapisać po stronie moich plusów, jako kandydata na męża.
- Prosiłam, żebyś zostawił mnie w spokoju.
- To możesz zapisać po stronie minusów. Uparty. Nie ustępuje, dopóki nie dostanie tego, czego chce.

Spróbowała zmienić temat.

- Nie lubisz swego prawdziwego imienia, prawda? Wolisz być nazywany Blaze.

- To prawda. Zapisz to na minusie.

- Nie ma żadnych plusów ani minusów. Nie prowadzę listy kandydatów na męża. Mówisz od rzeczy. Wiesz o tym, prawda?

- O, tak, wiem. Myślę i mówię od rzeczy już od września. Od pewnego dnia we wrześniu, kiedy to na moim placu budowy pojawił się pewien ka-
czeniec.

- To był błąd z mojej strony - powiedziała słabym głosem. - Chciałam u
ciebie pracować tylko dlatego, że uważałam cię za drania. Sądziłam, że
szantażowałeś mojego ojca, że zniszczyłeś człowieka, którego kochałam
najbardziej na świecie.

- I?

- I okazało się, że nie jesteś tym, za kogo cię uważałam.

- Czy twój ojciec sam ci to powiedział?

- Tak. Ale długo po tym, jak sama to odkryłam.

- Janey, chyba musisz coś wiedzieć o człowieku, którego pragnęłaś
nienawidzić, ale nie udało ci się to.

Zignorowała tę uwagę.

- W każdym razie winna ci jestem przeprosiny. Przepraszam także za to,
że uderzyłam cię tamtego wieczora. To było niewybaczalne.

- Przyjmuję twoje przeprosiny, choć dziwnie do ciebie nie pasują. Założę się, że obudzę drzemiącego w tobie tygrysa - powiedział prowokacyjnym tonem.

- Ani się waż, Blazie Hamiltonie.

- Myślę, że zaczekasz z tym do momentu, kiedy będziemy już po ślubie.

- Nie bierzemy ślubu.

- Czemu?

- Już mówiłam. Prawie się nie znamy.

- W porządku. Powiedz mi wszystko, co powinienem o tobie wiedzieć.

Zajmie ci to około piętnastu minut.

- Tak się składa, że jestem nieco bardziej skomplikowana - powiedziała dumnie.

Jeśli chodzi o skomplikowany aspekt twojej natury, to wszystko już o nim wiem. Twoja skomplikowana strona to ta, która mnie prześladowa i sprawia, że budzę się z twoim imieniem na ustach. Skomplikowana strona to sposób, w jaki mężczyzna reaguje na pewien zapach, pewien głos, określony grymas pewnych ust. Skomplikowany aspekt to uczucie uniesienia i nieoczekiwanego zdumienia na widok rąk kobiety, której dawniej nie miałyby się nawet ochoty zaprosić na randkę. To również powrót do marzeń, z których dawno się już wyrosło, które uznało się kiedyś za romantyczne bzdury. I tyle, jeśli chodzi o skomplikowaną stronę. A teraz masz piętnaście minut, żeby opowiedzieć mi resztę, twój ulubiony kolor, twoje ulubione kwiatki, do jakiej chodziłaś szkoły i jakiego chcesz mieć psa. Ale nie mów nic więcej o skomplikowanej naturze.

- Blazie - szepnęła zdumiona. - Co ty mi chcesz powiedzieć?

- Daj spokój, Janey. Jesteś najinteligentniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem. Nie muszę tego literować.

- Owszem, musisz.

- Do diabła, Janey, chyba nie każesz mi tego mówić?

- Owszem, każę.

Uśmiechnął się tym samym ciepłym, zapraszającym uśmiechem, który dostrzegła w kościele.

- Kocham cię - powiedział poważnie. Przełknęła łzy. Otworzyła usta, ale nie mogła wypowiedzieć słowa.

- A więc to jeszcze nie wystarczy? - dodał napastliwie. - Mam powiedzieć wszystko? W porządku, mała, kocham cię do szaleństwa. Kocham cię, mimo że próbowałem z tym walczyć. Nie mogę przestać myśleć o smaku twoich ust. Cierpię jak potępiony, rozmyślając o uroczej zawartości twoich dzinsów. Nienawidzę chodzić do pracy wiedząc, że ciebie tam nie zastanę.

- Blaze...

- Nie, sama tego chciałaś. Nie przerywaj mi teraz. Na widok dzieciaków robi mi się gorąco. Omal nie rozplakałem się dzisiaj, patrząc na Mabel i Clarence'a, bo chcę, żebyśmy wyglądali tak samo.

- Blaze...

- Parę miesięcy temu bez wahania uderzyłbym Jonathana za to, że mnie okłamał. Ale teraz jestem inny, jakiś wyciszony. Miłość do ciebie zmieniła mnie. Uczyniła mnie szczęśliwszym. Bardziej zainteresowanym innymi ludźmi, bardziej na nich otwartym...

- Blaze...

- Nie. Jeszcze jedno. Zawsze świadomie wybierałem kobiety, które nie były w stanie wywołać we mnie takich uczuć. Bo wierz mi, Janey, do diabła, jest to dla mnie najcięższa, najbardziej przerażająca chwila w życiu. Stoję tak przed tobą z sercem na dłoni i modlę się, że może gdzieś, kiedyś, zrobiłem coś, co uczyniłoby mnie godnym twojej miłości. Godnym, byś czuła do mnie to, co ja czuję do ciebie.

- Tak jest - szepnęła. - Czuję to samo. Każdą z tych rzeczy.

- Naprawdę?

Skinęła głową.

- Naprawdę.

- Czy na tyle, żeby pójść ze mną do ołtarza?

- Tak - roześmiała się.

- Niedługo? W przyszłym tygodniu? Jeśli jednak chciałabyś poczekać ze względu na pamięć ojca, spróbuję to zrozumieć.

- Dziękuję ci, Blaze - powiedziała miękko. - Wiele dla mnie znaczy, że proponujesz uczczenie człowieka, którego nie mogłeś przecież darzyć szacunkiem.

- Och, Janey, nigdy nie uważałem twojego ojca za człowieka złego. Raczej za słabego, podatnego na pokusy, jakie niesie ze sobą życie.

- Chyba nie musimy czekać - powiedziała. - Najlepiej uczczę pamięć ojca, jeśli sięgnę po jedyną rzecz, jaką warto w życiu posiadać.

- Miłość?

- Tak. Miłość. Budując z tobą ten cudzy dom, odnalazłam drogę do własnego, wymarzonego.

- Mój ty mały cieślo, tak bardzo za tobą tęskniłem - powiedział Blaze, obejmując ją z całej siły.

